



ODGŁOSY

BOGDA MADEJ

(2)

REKOMENDACJE

Przede wszystkim rekomendujemy naszym Czytelnikom „Fascynacje centrum” L. Włodkowskiego, trzeciej z kolei publikacji na temat przyszłego kształtu Łodzi. Autor tym razem patrzy na „centrum” z punktu widzenia potrzeb całej Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej. I jak poprzednio apel: piszcie do nas, podzielcie się swoimi przemyśleniami, nadziejami i obawami. Przyszłość to jest przecież nasze dziś, tylko cokolwiek dalej.

Również drugą część artykułu B. Madej „Za linią autową” o kłopotach drużyny piłkarskiej ŁKS, nie traktujemy jako sprawy zamkniętej. Co na to działacze, sami piłkarze, kibice? Jesteśmy pewni, że interesuje to nie tylko autorkę.

W dzisiejszym numerze „Odgłosów” ujawniają się dwaj „nasi ludzie”. M. Rodak podслуchiwał studentów w klubie „Pod siódmkami” podczas spotkania naszego zespołu redakcyjnego z przedstawicielami środowiska akademickiego, kiedy to doszło do pierwszego (ale chyba nie ostatniego) „spojrzenia w oczy” redaktorom „Odgłosów”. O korzyściach z takich spotkań mówi autor, dla nas wniosek jeden: trzeba takie spotkania w różnych środowiskach organizować jak najczęściej. Drugi nasz człowiek znalazł się w PSS na studenckiej praktyce robotniczej i przesłał nam ciekawe obserwacje, dotyczące nie tylko handlu.

Z cyklu „Wypowiedzi rektorów” zabiera głos doc. Zenon Płoszaj, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej.

R. Binkowski ze swych wojaży po województwie łódzkim przywiózł ciekawy reportaż o twórcach ludowych z powiatu łęczyckiego, m. in. zapoznaje czytelników z oryginalną twórczością Filomeny Robakowskiej, laureatki nagrody Woj. Rady Narodowej.

Kontynuujemy spotykający się z coraz większym zainteresowaniem cykl „Lekcja literatury”. W dzisiejszym numerze J. Poradecki pisze o twórczości Witkacego. M. Kuźniak prezentuje natomiast sylwetkę twórczą Henryka Czarneckiego, autora popularnego „Profesora na drodze”.

ZA LINIĄ AUTOWĄ



Przegany mecz z Legią znacznie skomplikował sytuację piłkarzy ŁKS w pierwszoligowej tabeli. Powiększyła się liczba punktów straconych przez zespół ŁKS, wzrosła ilość straconych bramek. Bez zmian pozostała jedynie ilość strzelonych goli 5 słownie: pięć – to jest akurat prawie tyle – jak to już zauważył „Głos Robotniczy” – ile Roman Jakóbczak, piłkarz poznańskiego Lecha, strzelił w meczu swojej drużyny z krakowską Wisłą.

Przegany mecz z Legią pogorszył o tyle sytuację drużyny ŁKS, że zespoły sąsiadujące z nią w ligowej tabeli powoli zaczynają zwiększać różnicę punktów. Ale nie zostało przesądzone. Nie zakończyła się prze-

Dalszy ciąg na str. 6 i 7

RYSZARD BINKOWSKI

ANIOLY, DIABLY I ŚWICKI

Niedaleko Oraczewa, we wsi Golocice, mieszka stara kobieta, która co miesiąc wykonuje na zamówienie „Cepelii” trzy ogromne pająki. Fikuśnie

są te cacka ze słomy, bibuły, a roboty przy nich co niemiara, jeszcze więcej kłopotów; lamią się kruche pajączki, słoma dziś już nie taka, bez polysku żad-

nego, słabiutka, wyrosła na sztucznym nawozie; w sklepie nie uświadczysz bibułek jak trzeba, nie pasują, gryzą się kolory; różowe i inne, mocno

jaskrawe, to łowickie, a w Łęczyczkian, zawsze był czerwony, ciemnoniebieski i ciemnozielony oraz „filotowy”.

Dalszy ciąg na str. 5

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

FASCYNACJA CENTRUM

CENTRUM – stało się ostatnio niezwykle popularnym hasłem, wyrażającym tęsknotę Łożdzian za wielkomiejskim city, godnym miasta dokonującego szybkich przeobrażeń, wychodzącego z dziewiętnastowiecznych zapóźnień. Pojęcie CENTRUM wyraża jednak tęsknoty inne niż zawiera je tradycyjne pojęcie city.

Sprawami CENTRUM zajmowali się w poprzednich numerach „ODGŁOSÓW” Witold Millo w rozmowie z Antonim Szramem („Między fabryką domów a Bachem”) oraz Jacek Indelak („Szturm na centrum”). Wprawdzie Witold Millo w oparciu o projekt przyszłej filharmonii zastanawiał się nad tym, jaka architektura ma wejść do śródmieścia, a Jacek Indelak był bardziej pragmatyczny, rysując przed Czytelnikami ogrom zadań, to zarówno w jednej jak i drugiej publikacji występowała obawa przed tym, czy rzeczywistość lat przyszłych potwierdzi nasze m.żenia. Czy przyszłe CENTRUM Łodzi będzie na miarę

ambicji półtoramilionowego skupiska ludzi zamieszkujących nie tylko obszar Wielkiej Łodzi, ale całej Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej? Program CENTRUM Łodzi został już ustalony. Wiemy już, co i gdzie trzeba będzie wybudować, ale nadal otwarte pozostaje pytanie: jak budować, jak projektować, aby w przyszłości nie posadzono nas o brak wyobraźni i minimalizm? Znamy przecież historię łódzkiej architektury i wiemy dobrze, że każde zadanie można zrealizować w różny sposób. I w taki, że później trzeba zastanawiać się, co z tym fantem zrobić, jak go obudować i ukryć, bo nie stać nas na

burzenie budynków wznoszonych już po wojnie. I można projektować i budować w taki sposób, że będzie to powód do dumy również za lat 25 i więcej. W zasadzie i Witold Millo i Jacek Indelak interesuje przyszły pejzaż miasta, choć mówią o tym w różny sposób, patrzą na to zagadnienie z innych punktów widzenia. Obu im chodzi o to, aby przyszłe CENTRUM nie było martwe, aby nie było miejscem, gdzie tylko przychodzi się „jak do domu towarowego po zakupy i ucieka szybko do domu”, aby przyszłe CENTRUM mogło „żyć całą dobę”. Cel ten Witold Millo chce o-

stać przystającą architekturę człowiekowi, a dla Jacka Indelaka będzie tak, bo przewidziano w przyszłości powstanie kilku członów Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszaniowej.

Myszę, że kształtując koncepcję przyszłego CENTRUM, rysując kształty jego poszczególnych fragmentów, trzeba też pamiętać o skali, jaką wyznacza Łódzka Aglomeracja Miejska. Trzeba na przyszłe Centrum spojrzeć pod kątem potrzeb i funkcji, jakie powinno ono spełniać w takiej właśnie skali. A wydaje mi się, że jeszcze zbyt rzadko patrzymy na przyszłą Łódź, jako na centrum regionu nazwanego dziś w skrócie LAM. Zbyt daleko jest jeszcze odsunięty w czasie moment, kiedy LAM znacznie funkcjonować, ale przecież proces integracji w ramach tego regionu dokonuje się stopniowo, choć powoli. I czy to się nam dziś podoba, czy nie – proces kształtowania LAM dokonuje się i twor ten kiedyś stanie się rzeczywistością. Dlatego uważam, że przy wyobrażaniu sobie przyszłego CENTRUM Łodzi nie

Dalszy ciąg na str. 3

GOSPODARKA ŻYWNOŚCIOWA

Mówimy przy różnych okazjach, że „nie samym chlebem człowiek żyje”, ale nie zmienia to faktu, że podstawową potrzebą człowieka jest żywność. Tak jest dzisiaj i tak będzie w przyszłości. Dlatego też problemy gospodarki żywnościowej i dalszego rozwoju rolnictwa podjęte na XV Plenum KC PZPR są jednocześnie wyrazem konsekwentnej realizacji uchwał VI Zjazdu, a także ważnym ogniwem w systemie perspektywicznych zamierzeń społeczno-ekonomicznych. Dostatek i racjonalne zaspokojenie potrzeb żywnościowych narodu, idące w parze z rozwojem budownictwa mieszkaniowego, rozszerzonych świadczeń socjalnych, powszechnej opieki zdrowotnej, nowoczesnego systemu edukacji narodowej — stanowią nieodłączną część składową programu budowania dobrobytu społeczeństwa, wyrażając humanistyczne treści socjalizmu.

Problemy rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej nigdy nie schodziły z pola widzenia w praktycznej działalności partii. Po raz pierwszy jednak uzyskały one wymiar strategiczny, ujęte zostały w kompleksowy, długofalowy program, który będzie realizowany przez najbliższe piętnaście lat, do roku 1990. Sytuacja żywnościowa w świecie,

obecna i przewidywana (stały wzrost zapotrzebowania na żywność i surowce rolne, wzrost cen) nakazuje dążenie do samowystarczalności i eksportu nadwyżek w ramach wymiany i międzynarodowego podziału pracy. Doświadczenie wskazuje, że mimo iż nie posiadamy najlepszych gleb i nie omijają nas kapryśne aury, właśnie warunki glebowo-klimatyczne, przy nowoczesnych i intensywnych metodach upraw, wspartych techniką, chemią itd., gwarantują osiągnięcie tak ambitnych celów. Krótko mówiąc: nasza ziemia może wyżywić ludność Polski, jeśli będzie dobrze i nowoczesnie uprawiana, jeśli będziemy chronić jej zasoby, jeśli... Właśnie warunków jest wiele, a w pewnym sensie jeden najogólniejszy: każde działanie w sferze rolnictwa i gospodarki żywnościowej musi wynikać z racjonalnych przesłanek ujmujących całokształt gospodarki narodowej i polityki społecznej. Dlatego też XV Plenum KC przedstawiło nie tylko program rozwoju produkcji rolnej, ale zarazem program zabezpieczenia dla rolnictwa wszystkich niezbędnych warunków dla jego realizacji (maszyny, urządzenia, nawozy, środki chemiczne). Kolejnym ogniwem tego całościowego zadania jest program rozwoju

nowoczesnego przetwórstwa artykułów żywnościowych oraz racjonalnego ich użytkowania i spożywania.

Strategiczny program żywnościowy to nie tylko sprawa przyszłości, ale dnia dzisiejszego. Praktycznie biorąc okres ostatnich czterech lat, okres nowej polityki rolnej partii, można by zaliczyć do tego programu, jako działania przygotowawcze, porządkujące, jako praktyczny sprawdzian nowych koncepcji. Osiągnięliśmy w tym czasie 50-proc. wzrost dostaw artykułów żywnościowych na rynek, osiągając dynamikę nie notowaną w 30-lecie. To z kolei pozwoliło na bezprecedensową w świecie stabilizację cen na podstawie artykuły żywnościowe, przedłużoną na rok 1975. Sukces to niebywały i znów to trzeba wyraźnie podkreślić, sukces wszystkich, i tych, którzy produkują żywność i tych, którzy bezpośrednio lub pośrednio pracują na potrzeby rolnictwa; także sukces nowej, śmiałej polityki rolnej i jej praktyczne wdrażania w życie na wszystkich szczeblach.

Musimy jednocześnie zdawać sobie sprawę, że obecnie rolnictwo nasze osiągnęło taki poziom, kiedy dalszy wzrost plonów jest coraz trudniej osiągnąć prostymi metoda-

mi, zagospodarowaniem rezerw, czy usuwaniem barier, jak np. obowiązkowe dostawy. Wchodzimy bowiem w etap najnowocześniejszej agrotechniki, kompleksowej mechanizacji, przemian strukturalnych, wyważających rezerwy bardziej ukryte, jak np. zblokowane arealy upraw. Wymagać to będzie m. in. wysokich nakładów inwestycyjnych. I tak wartość maszyn i urządzeń dostarczonych w latach 1970—1990 wyniesie ponad 700 mld zł, a dla całego kompleksu żywnościowego ponad 1.100 mld zł. Dzięki takiemu uzbrojeniu rolnictwa zmieni się korzystnie struktura ludnościowa w kraju na rzecz intensyfikacji całej gospodarki narodowej. Obecnie jeden człowiek zatrudniony w rolnictwie wytwarza żywności dla 6 osób, a za kilkanaście lat będzie żywił ok. 20 osób. Oto skala przemian, ujęta w jednym z przykładów, wymagająca wysiłku i udziału całego narodu. Zakres i dynamika postępu w rolnictwie zależą będą w ogromnym stopniu od nauki, przemysłu maszynowego, budownictwa, od przemysłu spożywczego i przetwórczego, od transportu, handlu i gastronomii. W kompleksie życiowym (pracujących w rolnictwie i na rzecz rolnictwa) pracuje prawie co drugi człowiek, zatrudniony w gospodarce.

Na XV Plenum KC poświęcono wiele uwagi nie tylko sferze produkcji żywności i jej materialnemu zabezpieczeniu, ale także sferze konsumpcji. Wraz z głębokimi przemianami społecznymi w życiu narodu nastąpiły również korzystne zmiany w poziomie i strukturze żywienia. Mimo to rozpowszechniony i utrwalony przez tradycję model potrzeb daleki jest od doskonałości,

nie zawsze zgodny jest z naukowymi założeniami, wymogami racjonalności i zdrowotności. Tradycyjnie przedkładamy mięso i przetwory mięsne nad tłuszcze roślinne, przetwory mleczne, owoce i warzywa. Wymogi racjonalnego żywienia nakazują dążenie do ilościowego i jakościowego wzrostu spożycia tych artykułów. Potrzebna jest w tym zakresie lepsza informacja, reklama i specyficzna edukacja społeczeństwa — ucale nie tak łatwa szkoła racjonalnego odżywiania. To również zadanie dla prasy i środków masowej informacji, wyrażające się w potrzebie bardziej skutecznego oddziaływania.

Wagi przyjętego na XV Plenum KC programu nie sposób przecenić. Określa on żywotne potrzeby społeczeństwa i drogi ich zaspokojenia, ujmuje dzień dzisiejszy i perspektywę, naszą sytuację wewnętrzną na tle sytuacji światowej i przewidywanych trendów rozwojowych. Program jest uszczególniony i organicznie z sobą wewnętrznie powiązany. Struktura tego programu to nie tylko układ naczyni połączonych gospodarką, ale krwioobiegi żywego organizmu, jakim jest społeczeństwo rozwijające się, tworzące wartości materialne i duchowe dla siebie i przyszłych pokolei. Dążymy do przekształcenia Polski w kraj zamożny i żyjący w dostatku, w kraj rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Dorobek XV Plenum KC stanie się integralną częścią tej perspektywy rozwojowej, w którą wpisane są realne możliwości, nadzieje i ambicje każdego Polaka.

J. W.

STUDENCKIE SPOJRZENIE W OCZY

„SPÓJRZ PROSTO W OCZY REDAKTOROM tygodnika społeczno-kulturalnego ODGŁOSY” — zaproponowała Rada Programowa Klubu Studentów Łodzi — 77, dodając w nawiasie: „(naszego, łódzkiego, adresowanego przecież i do młodzieży, także do studentów, także do niewykwalifikowanych robotników budowlanych, a ponadto w ogólności: do ludzi)!!!!”.

Poszedł więc zespół redakcyjny „ODGŁOSÓW”, aby spojrzano mu w oczy, aby posłuchać, co o „ODGŁOSACH” myślą studenci, co im się nie podoba, co podoba i co chcieliby widzieć na łamach pisma. Mnie kazano iść osobno, abym starał się być widzem postronnym i wszystko, co zobaczę i usłyszę na łamach pisma, ku nauce i pożytkowi Czytelników i redakcji zrelacjonował. Usiadłem więc skromnie z boczków, słuchając pilnie, notując skrętnie. A słuchając zagajenia, przeczytałem sobie dalszy ciąg cytowanej w wstępie ulotki, zachęcającej studentów do spojrzenia prosto w oczy redaktorom.

„Dajmy sobie spokój z jałowym zastanawianiem się nad problemami odwiecznymi, ponadczasowymi (typu: jak żyć i gdzie jest szczęście) — pisała do studentów Rada Programowa Klubu „Pod 77” — również nad drobiazgowymi (dlaczego nie ma ekspresu do spodni w kolorze marengo?), zastanówmy się natomiast, czy potrzebna jest nam obecność jakiegos tygodnika? Czy ktoś czyta „Odgłosy”? Czy Ty czytałeś, kiedy, z jakich pobudek, za i przeciwko komu to czytałeś?”

Bo przecież istnieją. Mają na swoje usprawiedliwienie mnóstwo ambicji i potrzeb środowiska kulturalnego naszego miasta, i w imieniu tych ambicji reprezentują nas swoją zawartością. Okazuje się natomiast, że zawartość ta nas nie interesuje i nie dotyczy (albo, ile nas to dotyczy?)

„Ale jednocześnie może ten stan rzeczy wynikać z faktu, że Ty piszesz do szuflady te wiersze (te opowiadania, te felietony — niepotrzebne skreślić) i dlatego tak to wygląda? Może czekają, że te szuflady otworzysz? Tylko pomyśl, (...)”

Przyznajemy się, że rzeczywiście zależy nam na tym, żeby Cię namówić do przyścia na to spotkanie. (...) Namawiając Cię, mamy pługawą intencję, żeby Cię napuścić, nakreślić, zamani-pulować, bo liczymy, że Cię ta nasza intencja na tyle oburzy, iż będziesz mógł pomyśleć o tym, jaki jest Twój własny, nieodpowiedzialny stosunek do tygodnika „Odgłosy”. Dalsze refleksje prosimy snuć we własnym imieniu i na własną odpowiedzialność”.

Po takim zaproszeniu i własnym rozpoznaniu środowiska spodziewałem się frontalnego ataku na redakcję „ODGŁOSÓW”, alsiści zawiadłem się srodze. Atak owszem był, ale raczej drobiazgowy, komuś nie podobały się recenzje, komuś felietony, a jeszcze komuś

„Powiększenia”. Dlaczego się nie podobały? Nie wszyscy potrafili odpowiedzieć na to pytanie, a jak wiadomo — twierdził to już starożytny Rzymianin — o gustach nie należy dyskutować, czyli „de gustibus non disputandum”. Zespół „ODGŁO-

SÓW” nie przejął się tymi drobiazgowymi, domagając się krytyki merytorycznej i zasadniczej. Wtedy to właśnie kilka osób spróbowało dokonać takiego dzieła, porównując „Odgłosy” z wrocławską „Odra” czy poznańskim „Nurtem”. Porównania takie są jednak ryzykowne, choćby tylko dlatego, że „Odra” jest miesięcznikiem, a to już nadaje jej zupełnie inny charakter. Próbowaj jednak udoświadnić krytyczne zarzuty, kierowane pod adresem „ODGŁOSÓW”, trzeba powiedzieć, że wynikały one z kierunkowych zainteresowań. Studentów filologii polskiej interesowały problemy literatury, krytyki literackiej, teatralnej, filmowej. Studentów szkół artystycznych — problemy krytyki filmu, muzyki, plastyki. Zadawano sobie i reakcji pytanie: czy prezentowane na łamach „ODGŁOSÓW” recenzje są li tylko zinną analizą spektaklu, wystaw, książki, czy uwzględniają również emocjonalne zaangażowanie recenzenta? Czy na przykład recenzentowi teatralnemu chodzi przede wszystkim o to, aby „sprawiedliwie” podzielić oceny wmięniając, że ten grał dobrze, tamten właściwie pojął intencje reżysera, a tamta wniosła istotny wkład do interpretacji sztuki, czy też powinno mu również chodzić o to, w jakim stopniu dana sztuka mieści się w kulturalnej i repertuarowej polityce miasta i regionu? Były i pręsnęły z tego powodu, że redakcja nie zamieściła początkującego poecie wiersza, a zamieściła mu ten sam wiersz inna redakcja i dzięki temu on — ten poeta już nie początkujący — ma absolutnie negatywny stosunek do pisma.

W rozmowie zespołu redakcyjnego „ODGŁOSÓW” ze studentami zgromadzonymi w klubie „Pod 77” poruszono również sprawy istotniejsze: pytanie o adresata pisma, o jego poziom, zastanawiając się, czy pismo ma lansować pewne tendencje występujące we współczesnej kulturze, czy też odpowiadać na gusty, które — jak wiadomo — są bardzo różne? W rozmowie tej członkowie zespołu przypomnieli niektóre fakty z historii czasopiśmiennictwa w Łodzi, podkreślając, że właśnie „ODGŁOSY” są tym pismem, które przelamało złą tradycję i wychodził nieprzerwanie 18 już rok. Przyznano również, że „ODGŁO-

SY” nie są jedynym pismem społecznym i kulturalnym dostępnym na rynku czytelnikom Łodzi, a mimo to nakład pisma rozchodził się w mieście i kilkakrotnie przewyższał nakłady innych pism — pism kulturalno-społecznych o zasięgu ogólnopolskim. Są to fakty, ale one — co podkreślano na spotkaniu — nie mogą w żadnym wypadku uspokajać zespołu, wpływać hamująco na jego inicjatywę i poszukiwania sposobów dotarcia do szerokiego odbiorcy.

Ten szeroki odbiorca — hasło bardziej ogólne niż konkretne — stanowił również przedmiot sporu. Pismo bowiem — jedyną przecież w Łodzi — ma obowiązek reprezentowania interesów wielu i bardzo różnych środowisk kulturalnych miasta i regionu. Obowiązek to skomplikowany i trudny, jako że niektóre środowiska domagają się słusznie swoich osiągnięć, ewidencjonowanych w sprawozdaniach, a niechętnie patrzą na podejmowanie ich problemów, na konfrontację z osiągnięciami podłożych środowisk z innych regionów kraju. Pismo — choć ma w podtytule: Tygodnik społeczno-kulturalny — uważane jest za pismo łódzkie, a ten przymiotnik rozumie się jako chwalebne wszystko, co łódzkie, a nie jako pismo troszczące się o interesy Łodzi i regionu, starające się waleczyć o wyższy poziom tego, co dzieje się w Łodzi i regionie.

Jest to oczywiście pismo łódzkie — co podkreślali w swoich wypowiedziach członkowie zespołu — ale ukazujące się na rynku wydawniczym obok innych pism, stanowiące w geografii czytelników regionu jeden z elementów. Byłoby idealnie — mówili członkowie zespołu „ODGŁOSÓW” — gdyby Czytelnik — niezależnie od prasy codziennej — kupował i czytał obok „ODGŁOSÓW” również „Kulturę”, „Życie Literackie”, któreś z pism literatury i — w zależności od swoich zainteresowań — pismo specjalistyczne. Taki ideał jest jednakże ciągle postulatem, na co wskazuje różnica w sprzedaży „ODGŁOSÓW” i innych pism. W tym kontekście odpowiedź na pytanie: czy pismo ma lansować współczesne tendencje kulturalne czy odpowiadać na gusty Czytelników — musi być z ko-

nieczności kompromisowa. A — jak wiadomo — kompromisy nie są najlepszym wyjściem.

Zespół „ODGŁOSÓW” — odpowiadano na zarzuty — stara się tak redagować pismo, aby adresowane ono było nie tylko do poszczególnych środowisk kulturalnych miasta i regionu, ale aby mogło interesy i sprawy tych środowisk prezentować wobec szerszego kręgu odbiorców. Zgodzono się jednak z zarzutem, że jeśli chodzi o środowisko studenckie, to widzi się je raczej przy różnych okazjach, jak na przykład „Juwenalia” czy rozpoczęcie roku akademickiego. Jest to niewystarczające i zespół dołoży starań, aby móc społeczeństwu regionu zaprezentować codziennie sprawy studentów, aby problemy tego środowiska mogły stać się społecznymi problemami Łodzi.

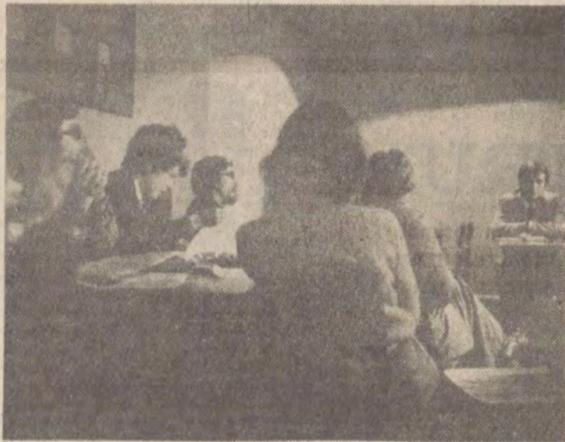
Tak się złożyło, że wśród pytających przeważali studenci humanistyki, dla których pismo nie zawsze pomocne jest w rozumieniu spraw społecznych, wśród której przyszło im studiować, a którzy chcieliby pismo widzieć jako pomoc w doskonaleniu swoich umiejętności, traktując je jako ewentualną możliwość debiutu, jako płaszczyznę do konfrontacji swoich ocen i refleksji na temat życia kulturalnego ludzi i spraw współczesnej humanistyki. Taki stosunek do „ODGŁOSÓW” jest nieporozumieniem, a — niestety — nieporozumień było znacznie więcej. Zawila historia 18 lat pisma, które dokonywało już różnych ewolucji, poszukując stale najlepszego modelu, niezbędnego w życiu społecznym i kulturalnym regionu, sformułowała, że wokół „ODGŁOSÓW” nagromadziło się wiele różnorodnych opinii, czasem sprzecznych z sobą. Nieszczęście polega na tym, że nosiiele tych mitów i stereotypów nie konfrontują ich z rzeczywistością, ze współczesnym stanem pisma. Nieszczęście polega na tym, że wielu głosicieli tych urojonych opinii, kształtują je nie w oparciu o rzeczywistość tygodnika, ale w oparciu o własne wyobrażenia, czasem zupełnie niedorzeczne, na temat tego, jakie powinny być „ODGŁOSY”. A powinny być dobrym twórcą, potrzebny w Łodzi i regionie, odpowiadającym na społeczne

zapotrzebowanie coraz szerszych kręgów Czytelników.

Charakterystyczny był fakt — jak to podkreślono w rozmowie ze studentami — że wśród wielu zarzutów, koncentrujących się wokół tematyki kulturalnej, nie wspomniano niemal ani słowem na temat związków pisma z rzeczywistością, na temat jego zaangażowania w problematykę społeczną. A przecież to stanowi — w obecnej chwili — podstawowy brak pisma, które jest zobowiązane do jednoczesnego uwzględniania zarówno problematyki społecznej, jak i kulturalnej. Najciekawsze jest to, że uwadze studentów uszedł zupełnie raportaż, podejmujący właśnie problematykę społeczną, obficie reprezentowany na łamach pisma, któremu można, przecież postawić wiele różnych i poważnych zarzutów.

Wiele studenckich postulatów zbliżyło się z zamierzeniami redakcji, która, rozumiejąc zapotrzebowanie na problematykę społeczną, zamierza w najbliższym czasie, angażując do współpracy specjalistów różnych dziedzin kultury, podejmować w cyklach tematycznych sprawy współczesnej literatury i kultury, szczególny nacisk kładąc na zagadnienia współczesnej powieści powieści politycznej, starając się przedstawić formy transmisji osiągnięć nauki do społecznej świadomości. Jednocześnie redakcja pragnie polożyć większy nacisk na sprawy społeczne, podejmując te wszystkie tematy które interesują ludzi, które warunkują naszą współczesność. Jak te zamierzenia będą spełnione pokaże najbliższa przyszłość. Słuchając wymiany poglądów między studentami i zespołem redakcji, doszedłem do wniosku, że spotkania takie — choć może nie zawsze udane i spełniające do końca oczekiwania obu stron — są pozytywne. Zgłaszam się więc na ochotnika na następne, aby usłyszeć o czym rozmawiają „oble wysokie strony”, a później wszystko to zrelacjonować nie na wieczna rzecz pamiętkę, ale z pożytkiem dla redakcji i Czytelników.

MARCIN RODAK



Fot. Włodzimierz Parys

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz). Stałe współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

NAUKA. POSTĘP. DOBROBYT

W dynamicznym rozwoju społeczno-ekonomicznym Polski, szczególnie szybkim na przestrzeni ostatnich czterech lat, ogromną rolę odgrywa nauka. W Łodzi mamy siedem wyższych uczelni. Społeczeństwo łódzkie coraz bardziej docenia ich znaczenie w rozwiązywaniu złożonych problemów gospodarczych i społecznych w kraju, w tym również w naszym regionie. Nasze wyższe uczelnie są dziś chlubą Łodzi.

Dając wyraz zainteresowaniu tą ważną problematyką zwróciliśmy się do rektorów wyższych uczelni łódzkich z prośbą o wypowiedzi na temat dalszych perspektyw rozwojowych uczelni, zamierzeń dydaktycznych i naukowo-badawczych w bieżącym roku akademickim oraz trudności, które hamują realizację programów rozwoju.

Obecnie publikujemy wypowiedź rektora Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej doc. ZENONA PŁOSZAJA.

Rok akademicki 1974/75 jest rokiem jubileuszowym naszej uczelni, która działalność dydaktyczną rozpoczęła już w marcu 1945 r. Inaugurujemy go przygotowani w pełni do czekających nas zadań i obowiązków. Intensyfikacja życia społeczno-gospodarczego w kraju, jak i związany z nią rozwój kultury nakłada na uczelnię poważne obowiązki rozwojowe.

Zgodnie z perspektywnym planem rozwoju uczelni realizujemy go 8-procentowym wzrostem liczby studentów w stosunku do roku ubiegłego, rozpoczynając rok akademicki liczbą 312 studentów, studiujących na czterech wydziałach. Powołany przed pięć laty Wydział Wokalno-Aktorski osiągnął już w bieżącym roku swą stabilizację 67 studentów. Pierwszych trzech absolwentów tego wydziału opuściło uczelnię w czerwcu br., otrzymując dyplomy rok przed wyznaczonym terminem.

Dalszemu rozwojowi ulegnie, działająca przy Wydziale Teorii i Kompozycji, Studium Pedagogiki, przygotowujące przyszłych nauczycieli dla szkolnictwa muzycznego.

Poważnym zadaniem czekającym nas w nadchodzącym roku akademickim jest uruchomienie filii Wydziału Instrumentalnego naszej uczelni w Bydgoszczy. Miasto to, jako ośrodek o dużej aktywności artystycznej i pewnych już tradycjach, posiadające własną Filharmonię, Operę, średnie szkolnictwo muzyczne, odczuwa poważny brak kadry artystycznej z wyższym wykształceniem. Wydaje nam się, że poważne zaangażowanie władz miasta, jak i atmosfera panująca wokół tej decyzji, wpłyną korzystnie na rozwój filii. Dążymy, ażeby wraz z rozwojem ilościowym uczelni wzrastał także poziom przygotowania naszej młodzieży do wykonywania swego zawodu. Stawiamy przed sobą zadanie podniesienia wartości dyplomu, jako dokumentu stwierdzającego przygotowanie zawodowe i społeczne młodego artysty.

Jedną z dydaktyki i wychowania będzie w dalszym ciągu głównym zadaniem uczelni. Poprzez wspólny wysiłek z SZSP pragniemy uruchomić rezerwy drzemiące w zbyt małej aktywności pewnej części naszej młodzieży. Chcemy, żeby wszyscy studenci, korzystający z praw i dobrodziejstw, jakie im stwarza socjalistyczny ustrój, w jednakowej mierze angażowali się w naukę i pracę społeczną. Uczelnia nasza, podobnie jak w minionym roku, będzie prowadziła szeroko zakrojoną akcję koncertową we własnej auli przy ul. Gdańskiej 32, jak i w wielu salach, domach kultury i bibliotekach na terenie naszego miasta. „Koncerty niedzielne”, na które zapraszamy mieszkańców Łodzi, będą się odbywały regularnie w naszej auli, a wykonawcami ich będą studenci i pracownicy PWSM. Raz w miesiącu zapraszamy na koncerty muzyki organowej. Studencka Orkiestra Symfoniczna wystąpi w specjalnie przygotowanym programem w sali Filharmonii w Łodzi. Chór szkolny przygotowuje wraz z orkiestrą Państwowej Filharmonii kolejne dzieła oratoryjno-kantatowe. Wydział Wokalno-Aktorski wystawi jedno przedstawienie operowe na scenie Teatru Wielkiego i jedną operetkę w Teatrze Muzycznym.

Szczególne uwagę pragniemy poświęcić dalszemu rozwijaniu współpracy uczelni z zakładami „Reymonta” i „Olimpii”. Zorganizujemy także kilka koncertów dla dzieci ze specjalnie przygotowanym programem i prelekcją.

W porozumieniu z Zarządem Łódzkich Kawiarni, jeden raz w miesiącu będą się odbywały koncerty naszej młodzieży w wytypowanej do tego celu kawiarni. 20 października br. Orkiestra Symfoniczna PWSM i soliści wzięli udział w uroczystym koncercie w ramach Panoramy 30-lecia w Warszawie. Młodzież nasza gotowa jest wystąpić wszędzie tam, gdzie ją poproszą i będą chętni słuchali.

W roku akademickim 1974/75 pragniemy odczytać szczególną opieką łódzkie szkoły muzyczne I i II stopnia, dążąc do całkowitej integracji obu szkół. Utrzymujemy i rozwijamy wymiary koncertową z uczelniami Gdańska, Krakowa, Katowic, Poznania i Wrocławia.

Stawiając przed sobą ambitne zadania napotykały także trudności. Są one przede wszystkim natury lokalowej. Brak odpowiedniego domu studenckiego dla młodzieży szkół artystycznych, brak sali koncertowej, w której mogliby znaleźć właściwe miejsce do pracy — studencka orkiestra, chór i studenci Wydziału Wokalno-Aktorskiego — są czynnikami poważnie utrudniającymi naszą pracę. Jednak optymistyczne prognozy wstawienia do 5-letniego planu inwestycyjnego Ministerstwa Kultury i Sztuki na lata 1975—80 zarówno budowy domu studenckiego, jak i sali koncertowej, stwarzają perspektywy przezwyciężenia tych trudności.



Fot. Włodzimierz Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

można zapominać, że będzie ono również centrum administracyjno — handlowo — usługowo — kulturalnym dla obszaru zamieszkiwanego przez półtora miliona ludzi.

Gwoli przypomnienia — według dziś obowiązujących założeń — w 1990 roku na obszarze LAM znajdzie się 13 miast: Łódź, Brzeziny, Koluszki, Stryków, Lask, Ozorków, Głowno, Aleksandrów, Konstanczów, Tuszyń, Fabianice, Zduńska Wola i Zgierz. Według prognozy demograficznej w 1990 roku w Łodzi ma mieszkać 900 tys. osób, a w pozostałych 12 miastach LAM — 355 tys. osób. Sądząc jednak, że na rok ten można śmiało zakładać, że będzie nas w LAM półtora miliona.

Łódzka Aglomeracja Miejska zajmie obszar 2 980 km kwadratowych i na tym obszarze poza 13 miastami znajdzie się też 27 gmin. A sądząc, że CENTRUM Łodzi będzie dla miesz-

FASCYNACJA CENTRUM

kańców tych gmin też atrakcyjnym miejscem, gdzie będą chcieli nie tylko załatwić różne interesy handlowo-usługowe, ale i szukać rozrywki.

Jacke Indelak wspomina, że przyszła Łódź ma mieć układ strefowy, że obok strefy centralnej będą funkcjonowały — dziś już tworzone — centra regionalne: centra dzielnic i osiedli. Podobna zasada będzie obowiązywała w LAM, gdzie obok rdzenia aglomeracji powstaną punkty węzłowe, jakimi będą większe miasta aglomeracji. Ale tak, jak w Łodzi niezależnie od centrów dzielnicowych i osiedlowych potrzebne jest centrum miasta, z jego złożonymi funkcjami handlowo — usługowo — kulturalnymi, tak i w przypadku LAM potrzebne będzie centrum całej aglomeracji. Tym bardziej że będzie ono pełniło funkcje administracyjne dla regionu, a także dzięki koncentracji potencjału produkcyjnego w tym obszarze, koncentracji potencjału naukowego — będzie pełniło funkcje dyspozycyjne dla niektórych gałęzi gospodarki narodowej. I o tym — wydaje mi się — nie można zapominać przy realizacji programu przebudowy CENTRUM Łodzi.

Mamy obecnie w Łodzi — nie licząc szkół wyższych i placówek naukowych PAN — Instytuty: Włókiennictwa, Techniki Ciepłej, Celulozowo-Papierniczej, Włókien Sztucznych i Syntetycznych, Przemysłu Skórzanego, Elektroniki, Przemysłu Instytut Automatyki i Pomiarów, Medycyny Pracy. Mamy poza tym 6 centralnych laboratoriów przemysłu lekkiego, mamy zjednoczenia tego przemysłu, jak też budowy maszyn włókienniczych. I tak się dzieje, jak ośrodek, że większość z nich znajduje się i pozostanie w obrębie przyszłego CENTRUM bądź w jego najbliższym sąsiedztwie. Ale pojęcie „bliskiego sąsiedztwa” jest pojęciem względnym. Jeśli rozpatrywać je w skali tylko miasta, to odległości kilku kilometrów — przy dzisiejszym stanie komunikacji — wydają się wielkimi. Inaczej na to będziemy patrzyli w przyszłości, patrząc na te odległości w skali LAM i przy zmodernizowanej i usprawnionej komunikacji. Już dzisiaj przecież szybciej można dostać się z Łodzi do Koluszek niż przejechać Łódź w poprzek lub dostać się podmiejskim tramwajem do niektórych miasteczek przyszłej LAM.

Wystarczy spojrzeć na projektowane pasma rozwojowe LAM do 1990 roku, aby stwierdzić, że układają się one głównie wzdłuż szlaków komunikacyjnych. Najślisznie rozwijać się będzie Łódzka Aglomeracja Miejska w paśmie Łódź — Pabianice — Lask — Zduńska Wola, w paśmie Łódź — Zgierz — Ozorków i w paśmie Łódź — Koluszki. Są to kierunki prowadzące w paśmie na Ozorków do aglomeracji bydgoskiej, w paśmie na Zduńską Wolę w kierunku aglomeracji poznańskiej, w paśmie na Koluszki i dalej na Tomaszów Mazowiecki i Piotrków Trybunalski w kierunku wielkiej aglomeracji śląskiej. Przewiduje się również rozwój pasma Łódź — Głowno w kierunku na Łowicz i dalej w kierunku aglomeracji warszawskiej. Pasma rozwojowe LAM układają się nie tylko wzdłuż linii kolejowych, ale i wspomagane będą autostradami.

Specjaliści przewidują, że występująca dziś bariera komunikacyjna ulegnie całkowitej likwidacji, a to dzięki budowie szybkiej kolei miejskiej, usprawnieniu sieci komunikacji miejskiej, jak i sieci dojazdowej. Mijmy nadzieję, że do tego czasu najsłabsza kolej Polska — Łódź — Kutno — ulegnie całkowitej modernizacji i przestanie być problemem. Już dziś rozważa się konieczność likwidacji tramwajów podmiejskich, wlokących się jednorozowymi liniami i wyciekających na mijankach i zastopowaniu ich autobusami. Zamiana ta ma i takie jeszcze znaczenie, że likwidacja linii tramwajowych pozwoli na sprawniejsze zmodernizowanie dróg, co dziś po części uniemożliwiają torowiska tramwajowe. Ale też usprawnienie komunikacji w obrębie LAM przyczyni się niezwykle do skrócenia odległości i dystansu pomiędzy poszczególnymi rejonami LAM. Wziąw-

szy pod uwagę, że dojazdy do pracy przestaną być zmorem, a staną się koniecznością, że wędrowni ludzie do CENTRUM będą nieuchronnością, jeśli to CENTRUM obok funkcji administracyjno-dyspozycyjnych będzie też pełniło takie funkcje usługowo-handlowo-rozrywkowe jakich się po nim spodziewamy, to stanie się ono rejonem najgęściej i naliczniej uczęszczanym. Na obszarze przyszłego CENTRUM — jak to słusznie zauważył Witold Millo — skoncentrowały się poza wszystkim instytucje kulturalne, a nie wskazuje, że będzie w przyszłości inaczej.

Halina Mortimer-Szymczak w referacie przygotowanym na sesję naukową „Wczoraj, dziś i jutro Łodzi”, omawiając prognozy związane z powstaniem i rozwojem LAM, utrzymuje, że „do 1990 r. globalne dochody ludności aglomeracji wzrosną o około 180 proc. na jednego mieszkańca”. Punktem wyjścia dla tych rozważań był średni dochód roczny z 1970 roku.

może, ale nie wydaje mi się, aby był to już ten rozmach i ta skala, o jaką powinno nam chodzić, jaka gwarantowałaby sprawna realizację ambitnych zadań. Nie chciałbym być źle zrozumiany, ale zwiędając niedawno wystawę „Warszawa XXX” mogłem obejrzeć makietę przyszłego centrum stolicy. Projekt przebudowy zachodniej strony Placu Defilad, która ma „nie tylko odciążać wschodnią stronę ul. Marszałkowskiej — jak pisze specjalny numer „Życia Warszawy”, przygotowany na wystawę „Warszawa XXX”, — ale prze-wyższyć ją programem wielkomiastowych usług tak dla warszawiaków, jak i przyjezdnych, z których 150 tys. będzie docierało codziennie do miasta przez Dworzec Centralny” — wzbudził mój podziw i zainteresowanie. I nie tylko mój. Rozumiem różnicę skal, rangi i funkcji, ale właśnie — i to chciałbym podkreślić — o mierzeniu w XXI wiek decyduje funkcjonalność projektów,

„Prognoza motoryzacyjna przewiduje — twierdzi dalej H. Mortimer-Szymczak — iż w 1990 roku przypadnie będzie około 180 samochodów na 1 000 mieszkańców, w tym w Łodzi 200—250 i na pozostałym terenie 140—160”. A więc możemy spokojnie założyć, że znacznej części mieszkańców 13 miast LAM nie będą wystarczały możliwości odpoczynku po pracy w ich ośrodkach miejskich, że będą chcieli szukać rozrywki i kulturalnych zajęć również w CENTRUM Łodzi — stolicy LAM. I będą mieli do tego pełne możliwości — przynajmniej — komunikacyjne. Poza tym



Fot. Włodzimierz Parys

— można przypuszczać — że tysiące ludzi dojeżdżających do Łodzi bądź do pracy, bądź w interesach będzie chciało pozostać tu na wieczór, aby spędzić wolny czas korzystając z wielkomiastowych udogodnień, z możliwości, jakie im powinno zapewnić CENTRUM Łodzi, będące przecież nie tylko siedzibą instytucji, ale również dysponujące najwyższym poziomem usług, placówek rozrywkowych, gastronomii i kultury.

Miejmy również nadzieję, że do 1990 roku rozwiążemy wreszcie trudny problem motoryzacyjny w skali wsi polskiej, i że rolnicy z 27 gmin znajdujących się w LAM nie będą mieli kłopotów z dojazdem do miasta, a mając możliwość wyboru, będą w większym stopniu korzystali z możliwości centrum LAM niż z centrów prowincjonalnych, które zresztą kształtować się będzie również z myślą o nich.

Nurtuje mnie pytanie, czy tworząc wizję przyszłego CENTRUM Łodzi bierzemy pod uwagę te wszystkie przesłanki, czy myśli się również o maksymalnych rozwiązaniach? Bardzo często w rozważaniach o przyszłości używa się hasła: „na miarę 2000 roku”, „na miarę XXI wieku”. Rozumiem, że są to pojęcia wytrychy, pojęcia zastępcze, które jednak nie wyjaśniają. Brzmi to ładnie, jest to synonim niewyobraźnej przyszłości, za którym kryją się mgliste przypuszczenia i świadomość, że jeśli budujemy, to nie budujemy tylko dla siebie, ale i dla przyszłych pokoleń.

Zdaniem Jacka Indelaka „nawet to, co zrobiono do tej pory, co się robi teraz — daje przedsmak rozmachu i skali całego przedsięwzięcia”. Być

ambicja zaspokajania naszych tęsknot nie tylko za nowoczesną architekturą, ale ambicja zaspokajania coraz to bardziej rosnących potrzeb społeczeństwa, dokonującego szybkich przeobrażeń nie tylko gospodarczych, ale i społecznych, społeczeństwa kształtującego się, stawiającego sobie coraz wyższe cele. I właśnie w naszych rozważaniach o przyszłości miasta i jego poszczególnych rejonów najbardziej brakuje mi obrazu rosnących potrzeb. Zbyt mało nas bowiem fascynuje skala zadań, a zbyt mało interesujemy się, jakie potrzeby będą te zadania inwestycyjne zaspokajały w przyszłości.

Rozumiem, że te niedostatki, czy może raczej niedomówienia, biorą się z funkcjonowania barier. Bariera pierwsza — to bariera możliwości. Jeszcze dziś pamiętam, że w chwili, kiedy aktualnym stawał się rosnący stale postęp budownictwa okazało się, że brakuje nam mocy przerobowych, czyli potencjału produkcyjnego w przedsiębiorstwach budowlanych. Słyszałem niedawno dowcip według którego najgroźniejsze są dziś nie moce piekielne, a moce przerobowe. Smutny to dowcip, ale — niestety — prawdziwy. A więc skala rozmachu przy budowie CENTRUM Łodzi zależy będzie przede wszystkim od prawidłowego procesu rozwijania potencjału produkcyjnego przedsiębiorstw budowlanych. Projektować można — wiedzą o tym architekci — rzeczy rewelacyjne. Coż z tego, kiedy okazują się potem one w praktyce niewykonalne i to właśnie ze względu na barierę możliwości budownictwa. A więc, jeśli chcemy mieć CENTRUM, o jakim marzymy, to trzeba równocześnie z projektowaniem i planowaniem troszczyć się o obalanie bariery możliwości.

Drużna bariera — to moim zdaniem skala wyobraźni. Nie posadzą o czywście projektantów o programowy minimalizm, o brak wyobraźni. Wydaje mi się jednak, że ciągle jeszcze nad naszym sposobem myślenia ciąży tradycja i to nie tylko tradycja mierzona daleką przeszłością, kiedy wystarczyło budować kamienice czynszowe, ale tradycja nawet lat niedawnych, kiedy rezygnowaliśmy z ambicji w imię wymagowanych wyższych racji, kiedy kursowało przekonanie, że Łódź nie musi być wielkim miastem, że wystarczy, iż będzie tym, czym jest, że najważniejszym dla nas zadaniem jest zachowanie relikwii przeszłości. A przecież udowodniono ostatnimi laty, że kult dla przeszłości nie przeszkadza wcale budowaniu śmiałej wizji przyszłości.

Jeśli więc mamy już program przyszłości CENTRUM Łodzi to — moim zdaniem przynajmniej — nie stoi na przeszkodzie, a przeciwnie wszystko sprzyja, aby rozbudzić fantazję i wyobraźnię nas wszystkich, rysując nie tyle wizje zadań jakie mamy do spełnienia, ale skalę potrzeb, jakie przyjdzie nam zaspokajać i patrzeć, czy wizja tych zadań pokrywa się z wizją przyszłych potrzeb.

Rozumiem, że jest też trzecia bariera — również bariera możliwości, ale już nie produkcyjnych a finansowych, która może spowodować pewne ograniczenia w rysowaniu ambitnych zamierzeń Program przebudowy CENTRUM rozłożony jest jednak na lata i to pozwala stosować taką strategię i taktykę, dzięki której można godzić potrzeby z możliwościami w sposób najmniej konfliktowy. Jest to zadanie niewątpliwie trudne, ale chyba nie niemożliwe.

W gruncie rzeczy to dobrze, że CENTRUM nas fascynuje ale wydaje mi się, że fascynacja nie może przysłonić istniejących barier, nie może przysłonić skali potrzeb, której niedostrzeganie może w konsekwencji dać ograniczony zakres zamierzeń, sprowadzić nasze ambicje do minimalnych rozmiarów. A przecież Łódź ma s ansę, aby stać się miastem nowoczesnym, w którym przyjemnością będzie pracować, mieszkać i wypoczywać i do którego przymiennie będzie przyjeżdżać, aby załatwić sprawy, dokonać zakupów i pobawić się troszkę.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„W MAŁYM DWORKU”

Lektura dramatów Stanisława Ignacego Witkiewicza jest sztuką trudną. Ten, chyba najwybitniejszy polski dramaturg XX wieku, stworzył własny język sztuki, którego wartość można odczuć dopiero przy dłuższym, wnikliwym z nią obcowaniu. Poszukiwał w swoich dziełach najwyższej miary ludzkiej wartości. Ponieważ nie widział ich wokół siebie, tworzył przeciw własnemu czasom, własnemu społeczeństwu. Jego bezkompromisowość stworzyła możliwości życia i pracy, których efekty podziwiamy dzisiaj już właściwie cały świat (docierają do nas echa sławy Witkacego w Stanach Zjednoczonych, Francji, Włoszech, nawet w Japonii), ale jednocześnie jego wyjątkowość utrudniła mu kontakt z mniej wyrobionymi czytelnikami. Spowodowała sytuację, która zainteresowanych jego pisarstwem zmusza do nauki lektury jego dzieł.

„W małym dworku”, może najbardziej popularny, najczęściej wystawiany w teatrach dramat (do 1972 roku zanotowano 18 premier), nie należy do najbardziej znamiennych dzieł pisarza, ani do najlepszych. Stwarza to poważne trudności w prezentowaniu myśli pisarza i artystycznych wartości jego dzieł. Dodatkowe utrudnienie stanowi jego związek z pierwowzorem, dramatem Tadeusza Rittnera, „W małym domku”, którego w dużym stopniu jest szczyderką kopią.

Dlaczego tak bardzo Witkacemu nie odpowiadała wizja ludzkiego świata zaproponowana przez Rittnera? Przecież Rittner nie przeceniał wartości człowieka. Widział jego niedoskonałość, słabość, uległość konwencji towarzyskiej, brak odwagi i konsekwencji w realizowaniu bardziej szlachetnych zamierzeń? Nie tylko dlatego, że Witkacy, katastrofista, dużo ostrzej oceniał człowieka. Rittner nie wierzył w ludzką wielkość, nie szukał żadnych nadzwyczajnych celów. Codziennie szara smutna, bez ambicji, była jednak terenem, na którym mogły się pojawić poczucie godności, autentyczności, obowiązku, wierności, itd., choć każde przebudzenie własnej wyobraźni, woli ku czemuś lepszemu, musi się skończyć tragedią.

Zapewne Witkacy uważał taką koncepcję człowieka za denerwującą i niewiarygodną. Jemu też chodziło o pewien moment porwywu w człowieku ku wielkości, ku autentyczności, ku wartości. Wymagał jednak od człowieka dużo więcej. Nie wystarczyło mu, że mógł się ten czy ów w pewnej chwili ocknąć i przerwać proces pograżania się w podłości, stereotypowości, nijakości. Bohaterowie Rittnera musieli być dla niego głupi, płacy, bezzmyslni, bowiem w chwili, gdy zwrócili się ku czemuś lepszemu, własnym postępowaniem bez namysłu

przyświadczał wartościom, których sens w naszej cywilizacji trzeba było dopiero udowodnić.

Miał Witkacy tę przewagę nad Rittnerem, że dużo lepiej od niego znał dwudziestowieczną filozofię, historiozofię, teorię kultury. Znakomicie zdawał sobie sprawę z konsekwencji obiegowego już w owych czasach sformułowania Fryderyka Nietzschego: „Bóg umarł”, symbolizującego kryzys wszelkich wartości. Musi być coś idealnego — rozumował Witkacy — czemu człowiek mógłby poświęcić życie, co warto by było przeżyć. Aby to było wielkie, idealne, nie może być wymyślone przez człowieka, bowiem wtedy będzie tak samo ulomne, jak on. Dawniej, gdy powszechnie wierzone w Boga, jego istnienie nadawało sens dziesięciu przykazaniom. Gdy jednak okazało się, iż normy etyczne są produktem myśli człowieka, w imię czego można było od niego wymagać, by był wielki, dobry, szlachetny?

Człowiek zatracił poczucie potrzeby przeżywania wzniosłości, wielkości. Przewidywał więc Witkiewicz, iż nieuchronnie jesteśmy skazani na wegetację podobną do martwoży społeczeństwa mrówek lub termitów. Wszystko znane, wszystko jasne, wszystko stereotypowe, powtarzalne jak praca maszyny, dopóki nie zlamie się jeden trybik, który ją unieruchomi na zawsze.

Jedyną możliwością przeciwstawienia się postępującej ciągle mechanizacji życia jest odbudowa poczucia istnienia indywidualnego, niepowtarzalnego, jednostkowego. Wartości nie można odczuć będąc trybikiem w wielkiej maszynie. Można ją odczuć tylko najbardziej osobiście, indywidualnie. Ogromna większość bohaterów Witkiewicza godzi się na rzeczy najbardziej nieoczekiwane, dziwne, okrutne, byleby tylko odzyskać poczucie indywidualnego istnienia. Podają się torturom, bowiem liczą na to, iż najbardziej własny ból własnego ciała wyodrębni ich z anonimowej masy ludzkiej. Zabijają innych lub ich torturują, by choć w poczuciu grzechu uzyskać świadomość, odczucie własnego, nieschematycznego istnienia. Za wszelką cenę chcą zostać artystami, bowiem sztuka jest jedynie wtedy wielka, gdy jest ekspresją indywidualności, nie tworem masy. Wszystko jednak zbyt łatwo można powielić, by rzekłby nawet największym wynaturzeniem możliwe było uzyskanie odrębności. Społeczeństwo jest społeczeństwem — terminów bez względu na to, czy wszyscy piją rano kawę, czy mordują starców. Sama dziwność, która może wydawać się pierwszym etapem odzyskania indywidualności, może ją jednak zapewnić tylko na chwilę, to krótką chwilę, zanim nie znajdzie się ktoś, kto zrobi to samo. Dlatego też żaden z bohaterów nie osiąga swojego celu tą drogą. Im bardziej starają się uciec z tego zmierzającego doświadczenia, tym silniej uświadamiamy sobie niemożliwość ucieczki, tym mocniej odczuwamy głód prawdziwych wartości, prawdziwych przeżyć, tym większe jest „nienasycenie” (tytuł jednej z powieści Witkacego).

Sytuacja zdawałoby się bez wyjścia. Być może nieco trudne sformu-

łowania ze „Wstępu filozoficznego” do „Nowych form w malarstwie” wprowadzają nas na teren, na którym możliwe jest proponowanie pewnych rozwiązań zarysowanych uprzednio problemów; „Istnienie jest jedno i tożsame z sobą. Pojęcie istnienia implikuje wielość, bez której jedno istnienie byłoby Nicością Absolutną”. Nie należy przerażać się hermetycznością sformułowań. Trud intelektualny podjęty dla ich zrozumienia znakomicie się opłaca.

Ze jednostka nie czująca więzi ze światem, z istnieniami innymi, nie jest w stanie odbudować poczucia własnej indywidualności, wiemy już z poprzednich rozważań. Jeżeli zamierzeniem naszym jest odczucie ważności, sensowności naszego jednostkowego życia — dowodzi Witkacy — musimy jednocześnie odczuwać naszą odrębność od innych istnień i mieć poczucie, iż jesteśmy częścią społeczeństwa, natury, wreszcie wszechświata, kosmosu. Żadne rozważania nie są w stanie do końca wyjaśnić tej tajemnicy dwoistości naszego bytu. Wartości, „Prawda Absolutna”, jak je określa pisarz, a więc to, co nas najbardziej interesuje, istnieją na tej nieuchwytniej dla nauki granicy między naszym pocuciem indywidualności a odczuwaniem siebie jako części czegoś szerszego. To jest teren, na którym możliwe jest życie istotne. Tak więc bohaterowie Witkacego pragną przeżyć „tajemnicę istnienia”, odczuć jego „dziwność”, doznać „uczucia metafizycznego”, które pozwoliłoby im na kontakt z wartościami, z „Prawdą Absolutną”. Gdzież można wyzwolić w sobie ten typ doznań? Wrażliwość? Kiedyś odnajdywał je człowiek w magii, w religii, w sztuce. Jednak rozwój wiedzy, nauki, odebrał ludziom bezprownie wiarę w sens magii i religii, ze sztuki zaś uczynił narzędzie opisywania rzeczywistości, walki ideologicznej, dydaktycznego oddziaływania. Wskreszenie magii i religii jest niemożliwe — rozumuje dalej Witkacy, ale możliwe jest jeszcze zreformowanie sztuki. Już bohaterowie jego dramatów układają swoje życie w ciągu przedziwnych, pozbawionych logiki zdrowego rozsądku zdarzeń, tworzą z własnego istnienia dzieła sztuki, co ma im ułatwić przeżycie owej „Tajemnicy Istnienia”, dotarcie do wartości, do „Prawdy Absolutnej”.

Wydawało się Witkacemu, że dzięki złudzeniu człowieka, iż wszystko jest oczywiste, stereotypowe, jasne, dać mu możliwość odczucia, że jednak nasze istnienie jest tajemnicze, dziwne, można przede wszystkim w teatrze. Teatr ten nie może mieć w sobie nic, co by przypominało stereotypowe życie. Ponieważ nasza wada odnosi się głównie do świadomości mechanizmów rządzących światem, teatr musi zrezygnować ze wszystkiego, co w potoczny rozumieniu nazywamy treścią. Odczucie tajemnicy naszego istnienia można sprokować jedynie przez czystą grę formalną. Dlatego też każdy dramat musi być maksymalnie „dziwny”.

Mimo programowej dziwności dramatu, utwory Witkacego zachowują pewne sensy, które można dość precyzyjnie opisać. Pewne pomysły podsuwa sam autor wprowadzając do

szuk rezonera wyjaśniającego widoczne znaczenie sztuki i postępowania bohaterów. Pozostałe postacie dramatów dzielą się zwykle na trzy grupy; których z nich jest indywidualnością na tyle silną, by pojawił się, choćby opacznie, „tajemnicę istnienia”, skłonić innych do brania udziału w zaprojektowanym przez niego działaniu, są wreszcie ludzie z zewnątrz, którzy położą całej akcji kres.

Są w dramacie postacie, które pojawiają się tajemniczo, widma matki, wita ją z radością. Przede wszystkim jej córki. Jakkolwiek by się nie bały, pojawienie się matki stwarza im możliwość życia istotnego, wartościowego, autentycznego. Z mieszanymi uczuciami wita ją jej mąż, Dyapanazy Nibek. W trakcie rozwoju akcji jednak wiele się uczy. Pojmuje bezsens swojego poprzedniego życia, konieczność poszukiwania czegoś nowego. Rezygnuje z marzeń, trochę pod wpływem okoliczności, trochę z dobrej woli, o stereotypowym sielankowym życiu na wsi i popelnia samobójstwo.

Okrucieństwo zakończenia, otrucie dzieci przez własną matkę, od chwili powstania dramatu budziło sprzeciw. W odpowiedzi na nie Witkacy pisał: „A co do tego, jak wytłumaczyć sobie z życiowego punktu widzenia trucie dzieci przez matkę, każdy rozumie to doskonale, tylko niektórzy krytycy lwowskiej dziwnie tepi są na ten temat. Otóż matka jako widmo dopiero zobaczywszy całą ohydę życia w tym dworku woli zabrać córki z sobą na tamten świat”.

Inne postacie, które aprobują pojawienie się widma matki, bynajmniej nie przechodzą tej ewolucji, co jej mąż i córki. Najciekawszy z nich Jezio Pasłukowski, poeta, nie zdaje sobie sprawy z hierarchii wartości. Wydaje mu się, że najwyższym celem człowieka jest przeżycie dziwności i tworzenie sztuki. „Jaki ten Jezio głupi. Hi, hi! — podśmiewają się z niego siostrzyczki. Sztuka bowiem posiada wielką moc, ale nie jest najwyższą z wartości. Obydwa wierszyki Jezia są prorocze: jeden z nich, napisany jeszcze przed rozpoczęciem akcji sztuki, zapowiada dokładnie o koliczności śmierci matki, drugi ze szczegółami przewiduje zakończenie utworu. Jednak to nie poeta posiada zdolności profetyczne. Jezio jest naprawdę głupi. Można by mniemać, że w przypadku mądrości wierszyków Jezia jest tak, jak z natchnieniem poetów w starożytnej Grecji: lub w niektórych romantycznych koncepcjach: wielkość poematów — zapewnia to, że ich właściwym twórcą jest bóstwo, muza, geniusz świata, który jedynie jako pośrednika używa osoby ludzkiej nazywanej poetą. Drugi wiersz Jezia nakładnia najbardziej wróżliwych bohaterów dramatu do zrelizowania zarysowanej w nim fabuły. Wskazuje to jak bardzo i za co Witkacy cenil sztukę. Ona bowiem uświadamia wróżliwym bohaterom to, co jest istotne, ona narzuca im sposób postępowania. Takie zadania stawiał sam pisarz przed swoją twórczością.

W pozostałych bohaterach niewiele można znaleźć wartości. Pretensjonalna nauczycielka muzyki, Aneta, nie widzi potrzeby jakiegokolwiek refleksji nad wydarzeniami. Dawny kochanek matki, Ignacy Kozdroń, na samą myśl o tym, że może być coś tajemniczego w świecie, w życiu, mdleje kilkakrotnie ze strachu. Służba traktuje widmo zgodnie ze stereotypami postępowania wobec osoby żywej. Nie przychodzi im do głowy, że cokolwiek w ich świecie się zmieniło.

Zakończenie, wbrew pierwszym wrażeniom, jest niezwykle logiczne i konsekwentne. Bohaterowie „W małym dworku” w zdecydowanej większości unikają wszystkiego, co mogłoby zakłócić ich „normalne” życie. Nie chcą dopuścić do swojej świadomości, że jest ono wegetacją bezsensowną i przez to okrutną. Gotowi są na wszystko, byle tylko nie zmuszano ich do odpowiedzi na takie pytania jak: jakie są najwyższe wartości, jaki jest sens życia, czy nie należałoby zmienić życia dotychczasowego, czy są godni miana człowieka, itd.

Z dotychczasowej analizy można by mniemać, iż „W małym dworku” jest patetyczną tragedią. Późniejsza lektura dramatu uświadamia, iż tak nie jest. Obecne są w nim na każdej stronie drwina, sarkazm, ironia, groteska, żart. I inaczej być nie może. Patetyczna tragedia jest możliwa tylko wtedy, gdy giną bohaterowie w pełni uświadamiając sobie dla jakich wartości żyją i dla jakich giną. Bohaterowie Witkacego tej świadomości nie mają.

Wskazywałem wcześniej, iż jednym z najpoważniejszych problemów współczesnej cywilizacji jest poczucie braku jasnych, nieodpartychnych wartości. W XX wieku najbardziej podstawową sprawą jest ich poszukiwanie. Jednym z najtrudniejszych pytań jest pytanie, czy są one w ogóle możliwe do znalezienia. W tej sytuacji bohaterowie muszą być mali, śmieszni, ich życie musi być groteskowe, pozbawione poczucia sensowności. Nawet ci najbardziej pozytywni z reguły nie posiadają recepty na istotność życia. Mylą się, wpadają w sztuczność, manieryczność, dziwactwo. Dramat współczesnej cywilizacji „Prawd Absolutnych”? Najlepsi spośród bohaterów „W małym dworku” odchodzą, świat pozostaje bez zmiany. W innych dramatach w świat utworu wdierają się ludzie z zewnątrz niszcząc wszystko i mordując. Przychozą właśnie owe terminy niszczycielskiej nadziei na ocalenie człowieczeństwa w człowieku. Był Witkacy katastrofista, ale pojawienie się w XX-wiecznych państwach i ekspansja idei totalitarnych i faszystowskich w pełni uzasadniały jego pesymizm. Rzadko który pisarz uświadamiał sobie i innym ogrom niebezpieczeństwa. Rzadko który tak uparcie, konsekwentnie szukał drogi wyjścia.

JERZY PORADECKI

HENRYK CZARNECKI

Henryk Czarniecki urodził się 14 listopada 1925 roku w Lipnie. Od 1945 roku mieszka w Łodzi, gdzie studiował filologię polską na UL, gdzie też uczęszczał do konserwatorium.

Jak większość pisarzy, Czarniecki wywodzi się „z rodu poetów”. Pierwsze wiersze drukował w gazetach codziennych i czasopiśmie społeczno-kulturalnym w roku 1946. Na dłużej i trwałej związał się z piśmami lubelskimi, publikując większą część swoich prób prozatorskich w tamtejszej „Kamieniu”. W Lublinie także debiutował jako dramaturg, a Scena Współczesnych Sztuk Polskich „Reduta 61” przy Teatrze im. Juliusza Osterwy wystawia w 1963 roku jego jednoaktówkę „Pan w ciemnych okularach”.

Od roku 1959 Czarniecki pisze cykl utworów, które w 1964 roku ukazały się nakładem „Człowieka” pt. „Miniatury i Listy do pana Popielniczki”. Nie lada kłopot miał chyba wydawca z zaklasyfikowaniem tych krótkich, lirycznych, i humorystycznych tekstów. Widocznie jednak „humor” przeważał, skoro debiutancki zbiorek Czarnieckiego znalazł się w serii „Biblioteki Satyry”.

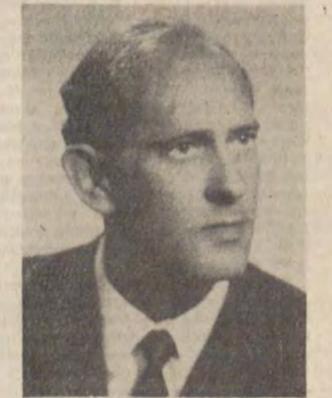
Już w tej niewielkiej (bo niespełna sto stron liczącej) książce odnaleźć można zasadnicze cechy pisarstwa Henryka Czarnieckiego. Są to przede wszystkim: wrażliwość poetycka oraz umiejętność dostrzegania sytuacji komicznych. W „Listach do pana Popielniczki” świat składa się

z elementów zwykłych, nawet konwencjonalnych. Spotkanie z dziewczyną, oczekiwanie na pociąg, wezsy — są to sytuacje dostatecznie już w kulturze popularnej zbanalizowane. Dla Czarnieckiego są one jednak tylko pretekstem do lirycznych spostrzeżeń, humorystycznych refleksji, nie pozbawionych ironii.

W tym samym klimacie utrzymany jest również drugi zbiorek Czarnieckiego „Śmierć krowy” (Wydawnictwo Łódzkie, 1967). W krótkich humoreskach lirycznych odnaleźć można ów ciąg powszednich wydarzeń, odświeżonych nową, zaskakującą pointą, czy zabawnym uogólnieniem. Czarniecki nie odświeża natomiast w „Śmierci krowy” zasobów swojej rekwizytorii, porusza się po terenach już spenetrowanych, a więc pewnych.

W 1967 roku wydaje także swą „wszyscy mikropowieść” „Człowiek w szufladzie”. Jest to na pewno próba ambitna, jeśli ją porównać z „okruciami” lirycznymi i humoreskami. Czarniecki nie zrywa z dotychczas uprawianym rodzajem twórczości, lecz raczej stara się wydobyć nowe możliwości artystyczne z już stosowanej przez siebie metody. Posługuje się zderzeniem zjawisk zwykłych ze zjawiskami groteskowymi.

Oto bowiem swoim bohaterem czyni pacjenta, który leżąc w łóżku powtarza uprzejmie, że człowiek lubi szufladę, chce być zaszufładowany, podporządkowany rzeczom i traktowany jak rzecz, mająca miejsce w



szufladzie. Autor jednak dewaluje tę skłonność bohatera do schematu i konwencjonalizmu. Czyni zaś to poprzez zapis wielu nie kontrolowanych wyznań bohatera przed i po operacji. I okazuje się, że te przeżycia i doświadczenia nie dadzą się zamknąć w żadną, choćby najpojemniejszą szufladę. „Człowiek w szufladzie” jest znaczącą pozycją w dorobku Henryka Czarnieckiego.

Potwierdzeniem zainteresowań twórczych, ujawnionych w tym tomie, jest „Godzina deszczu”, — zbiór

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

opowiadań wydany w 1970 roku. I tu również pisarz buduje świat swoich bohaterów w sytuacji i zdarzeń zwykłych, doskonale zaobserwowanych i zapisanych. Czarniecki konstruuje swoje opowiadania na zasadzie studium psychologicznego, zaskakuje przy tym czytelnika nieoczekiwanymi rozwiązaniami akcji. Umiejętności te widać najlepiej w „Ogłoszeniu matrymonialnym”, najdłuższym i najciekawszym tekście z tomu „Godzina deszczu”, oraz w następnej książce Czarnieckiego „Profesor na drodze”.

Tym razem Czarniecki sięgnął do swoich najosobistszych doświadczeń, związanych z dwudziestopięcioletnią pracą nauczycielską w Technikum Samochołowym dla Pracujących. Dorosli uczniowie, ich kłopoty i konflikty w pracy, w domu i w szkole są tworzywem fabularnym powieści. Jeszcze raz Czarniecki okazał się bystrym obserwatorem, wyczulonym na obyczajowe konkrety. Te właściwości jego warsztatu prozatorskiego zdecydowały zapewne, że „Ogłoszeniem matrymonialnym” i „Profesorem na drodze” zainteresował się reżyser filmowy — Zbigniew Chmielewski.

Wspólnie z Henrykiem Czarnieckim napisał na scenariusze do dwóch filmów telewizyjnych, zatytułowanych tak samo, jak ich pierwowzory literackie. Obydwa filmy Chmielewskiego spotkały się z życzliwym przyję-

ciem widzów i krytyki, przy czym „Profesor na drodze” przyniósł jego twórcy kilka nagród, m. in. Medal Komisji Edukacji Narodowej, nagrodę Prezesa Komitetu ds. Radia i Telewizji oraz nagrodę na Festiwalu Filmów Polskich w Gdańsku (była to nagroda za scenariusz). Czarniecki zamierza — po tak obiecującym starcie — nadal współpracować z filmem, widząc w tym szansę pełniejszego wyrazu swych obserwacji życiowych, dzięki środkom, jakimi dysponuje technika filmowa.

Po „Kurtce na ekspres” — ostatniej wydanej powieści Czarnieckiego — Wydawnictwo Łódzkie przyjęło następną, która nosi tytuł „Daleko od nocy”. Na motywach tej książki Henryk Czarniecki (wspólnie ze Zbigniewem Chmielewskim) pisze scenariusz siedmiopięciodobowego serialu telewizyjnego.

Tak więc dziś sporządzany biłans dorobku pisarskiego Henryka Czarnieckiego wykazuje: sześć książek prozatorskich, dwie jednoaktówki („Pan w ciemnych okularach” i „Roman tyzność”), jedną sztukę trzyaktową („Rozamundek”) oraz dwa scenariusze filmowe. Z pewnością jednak utalentowany pisarz nie powiedział jeszcze ostatnich słów.

MIROSLAW KUŹNIAK

Dalszy ciąg ze str. 1

Ta stara kobieta, Marianna Słomczyńska się nazywa, oprócz pajaków wykonuje również kwiaty, ptaki, bazy i inne cudowne; wyniosła te zainteresowania z okresu dzieciństwa, uczyła się od matki, sąsiadek, bo kiedyś, sześćdziesiąt lat temu, łączyły się chałupy na każde święto stroiły się w pióra, kwiaty, pajaki; zwyczaj zasadził się najmocniej w rodzinach biedniackich, których nie stać było na kupno odpustowych ozdóbek, a Słomczyńska pochodzi z „dworskich”; natrącała się na rudym, potem, gdy reforma rolna dała im gospodarke, też się trzeba było narobić, ale jak syn przejął gospodarstwo na siebie, zrobił się luz w czasie i Marianna Słomczyńska wróciła do tej mierniej roboty, zapamiętanej w dzieciństwie; nawiązała kontakt z muzeum i „Cepelia”; w 1964 r. pierwszy dyplom, do dziś zebrano się ich kilkanaście, z konkursów, wystaw i pokazów sztuki ludowej.

Ziemia przerosła bagnami, trzęsawiskami, odcięta od świata, bez komunikacji (linia kolejowa zbudowana dopiero przed II wojną światową) pozabawiona przemysłu, stała i cucha ludności przed Łęczycę; dzięki niej inne regiony mogły zachować swoją odrębność, własny folklor i dawne tradycje.

W Oraczkowie starzy gospodarze opowiadali młodzieńcom o tym, co widzieli, słyszeli; o Szwedach — grabieżcach, gwałcających niewiasty i o bohaterach leśnych powstania styczniowego, ale najpiękniejsze były baśnie, legendy i mocne „dreszczowce” o duchach, zjawach, widziadłach wśród których prym wiodł strzegący

świecę; tylko lekkie draśnięcia dłutkiem, kozikiem dają rysy rąk, twarzy, a w niej ostry znak ognia — chwini. majakliwy olomyk, stoją sobie ci miernicy w łączyckim muzeum, a obok nich diabły, jak w legendzie zmieniające postacie, podzielone sprawnie, wedle dostojenia: chłopięce diabły biedniackie, świecą gołą dupą, czarne w swej nagoci, z widłami i czerwonym ozorem, szlach-

najpierw robię dłutem kształt głowy, ręk, nóg, potem obstruguję to w tym drugim, żelaznym imadle, a resztę, tzn. twarz, wszystkie ostrzejsze rysy wydlubuję tymi małutkimi kozikami, ale wtedy muszę już trzymać rzeźbę w ręku. Dobrze, że mąż pomoże podciąć kłoczek, porządkę lipę na kłoczek, bo inaczej nie dałabym rady; kupiłam ostatnio za 800 zł cztery lipy, dwie takie dziurawe, że dzieciak by prze-

ślakowa, powiedziała, że to żaden interer i zawiozła parę figurek do Łęczycy. Przyjęto je i kazano mi robić inne, ale mnie się wtedy nie za bardzo widziało, bo płacili po 40—60 zł za sztukę, co rzeźbić trzeba przez trzy dni, a jak na koniu, to i cały tydzień; dochodzi jeszcze malowanie, dla mnie najtrudniejsze, równiutko trzeba pociągać, kolory dobierać właściwie; potem było już lepiej, wiele mi pomogła

RYSZARD BINKOWSKI

ANIOŁY, DIABŁY I ŚWICKI

kie zaś w sutych kontuszach, rozhułane, a chciwe i mądre, dla pilnowania skarbów przemieniające się w sowy; nad nimi, wśród nich chłopi przy siewie, żniwach, młocce, kopaniach, wszyscy w ludowych strojach, i te ptaki jak żywe, gnieźdzące w ostępach łączyckich bagien.

W roku 1964 zarejestrowano w powiecie 63 twórców ludowych, ale w zorganizowanym przez muzeum konkursie wzięło udział 75 osób, w tym 22 rzeźbiarzy.

Na krańcu Witonii, przy pełnej wybojów szlakowanej drodze, niemal na wprost kolorowej kapliczki, przycupnęła ukryta w kępach rozkwitłego bzu, chałupa. Kiedy wszedłem do niskiej, malowanej na niebiesko izby,

laż od końca do końca, ale za zwózkę trzeba zapłacić, za porznięcie lipy na kawałki dać chłopakom po 100, 150 zł, bo mąż też wszystkiego nie zrobi.

Tak, ciężka to praca, zwłaszcza dla 72-letniej kobiety, z trudem powłóczęjącej obolałymi nogami, ale przecież dzięki niej i takim, jak Kamiński, Snopczyński, Waclaw Czerwiński, Bolesław Grabski, którzy już odchodzą, lecz po nich ujawniają się młodzi, a iluż jeszcze nie odkrytych we wsiach, koloniach, przysiółkach, w izbach łączyckich i nie tylko, pojawiają się te kwiaty, pajaki, świętki, a na ścianach oprawione w ramki dyplomy; u Robakowskiej również; honorowe wyróżnienie na VIII konkursie dla artystów amatorów, wyróżnienie na Ogólnopolskim Konkursie Rzeźby Ludowej, dyplom z wystawy „Współczesna sztuka ludowa”, III nagroda za rzeźbę przyznaną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

— W zeszłym roku zawieźli mnie na festiwal do Plocka, teraz też otrzymałam zaproszenie, ale ze względu na zdrowie, chyba nie pojedę.

Łęczycę sztuka ludowa czerpie bogactwo z tradycji, ale rozwinęła się dzięki działalności ofiarnych, mądrych ludzi. Odeszła na emeryturę mgr Grodzka, kierownik muzeum, która pomagała twórcom jak przyjaciółka, zachęcała, organizowała konkursy, wystawy, walczyła o stypendia; jej prace kontynuują mgr H. Rzeszny, który uniknie wkrótce kłopotów z gromadzeniem i magazynowaniem eksponatów, bo kończy się remont muzeum na łączyckim zamku.

— Od czego to się zaczęło, pani Filomeno?

— Ano, pasalam ja gesi, krowy, a jak zaśpiewałam, to ludzie wychodzili z chałupy, żeby posłuchać. Ale jeszcze lepiej rzeźbiłam. Z drewna, marchwi, brukwi, buraka; lalki, które ubierałam w szmatki, ludzi, zwierzątka, domki, ale i inne cuda; raz, pamiętam, wyrzeźbiłam pannę młodą i pannę młodą, dziewczuchy naściagały jabłko, gruszek, chruszciki, zagotowały herbatę i zrobiliśmy tym młodym takie weselisko pod sadem, że żyjące koleżanki do dziś je pamiętają. A później wyszłam za mąż, osiadłam na gospodarce, urodziłam sześcioro dzieci, więc nie było czasu na rzeźbę; tylko jak oberałam buraki lub brukiew, to wystrugałam coś dzieckom na uciechę, no i po latach, kiedy nadszedł odpust i zjechała się rodzina, wystrugałam małuchom lalki, bo po co wydawać pieniądze na te gliniane i gipsowe straszdy?...

— Ale teraz rzeźbi pani dużo. Od dawna?

— Bedzie dziesięć lat, jak złamałam nogę; trudno było wytrzymać z nudo, za przedzenie się brałam, robiłam firanki, ale spokoju nie miałam; wylizę o kijku do sadu, patrzę na gałąź i myślę, że coś bym z niej zrobiła; spojrzę na firankę, na obrus, a tam z fald, ze wzorku jakieś twarze wylażą, figury dziwne; pomyślałam wtedy, że skoro Kamiński może strugać te swoje świcki i diabły, to i ja potrafię; z początku chowałam się w warsztacie w podwórzu, bo mogłoby pomyśleć, że stara baba do cna ogłupiała; co wyrzeźbiłam, to rozdałam, ale moja córka, Jadwiga Matu-

pani Rachowska z Łodzi, przysłały dyplomy, po nich stawka podniosła się do 150 zł, dzisiaj płacą mi po 150 zł od sztuki; bardzo się mną interesuje Warszawa, w ubiegłym roku dostawałam co miesiąc 1000 zł, stypendium, a w tym roku 1500, tak że nie mogę narzekać...

W Łęczycy działa aktualnie 36 twórców ludowych; 23 z nich zweryfikowała ministerialna komisja. Mają oni zapewnioną pomoc w zdobyciu odpowiednich materiałów, jak też w zbyciu swoich prac oraz poradę fachową i wsparcie finansowe.

Do izby wpadł młody, rezolutny listonosz i od razu w te słowa:

— Pani Robakowska to najwięcej gazet bierze, co dzień w niej jestem: „Zielony Sztandar” prenumeruje, „Gromadę”, „Ziemię Łęczycą”. „Przyjaciółkę”; ja tam nic z tego nie mam, podciągnęłam w rejonie gazetki do 40 sztuk, ale premii mi nie dali. Robakowska mnie za to wynagrodziła, śmiałem się, że nie potrafi, a ona takiego listonosza wyrzeźbiła, że kiedy wszedłem do izby, to uwierzyć nie mogłem, że to jestem ja...

— Przeważnie to ja na nic nie patrzę, jak mam coś wyrzeźbić; z tego, co widziałam przed dawnymi laty, ze słyszanych opowieści albo też z przeczytanych książyk, których cały stos leży pod tamtym oknem, biorą mi się te twarze, a każda inna, proszę pana, całe ich trzydzieści specjalnie oodównywali w Łodzi i każda była inaksha. A tam — wskazała domowy ołtarzyk są te pierwsze świate, które wyrzeźbiłam zaraz po tym nieszczęsnym złamaniu nogi.

— Dużo pani wyrzeźbiła tych postaci?

— No, ja tam nie liczyłam, ale zebrałoby się kolo tysiąca.

— A co pani rzeźbi? I kiedy pani się najlepiej pracuje?

— Najlepiej mi się pracuje, jak jest cicho, z rana, zaraz po śniadaniu, bo wieczorem to już tak niedowidzę, no i światło wchodzi mi w oczy; w dzień nie najbardziej idzie, jako że chłopu przecież też trzeba coś ugotować, nie? A rzeźbiłam, co tylko mogłam; wyrzeźbiłam sąsiadów i moich ojców, ale mi zabrali do Warszawy; a Witonii, proszę pana, to miała być miastem, był tu taki jeden, co o to zabiegał, nazywali go burmistrzem albo Borutą, bo się laska podpierał; wiele rzeczy zrobił dla Witonii, straż założył, orkiestrę, więc na 50-lecie tej straży wyrzeźbiłam go takim, jakiego zapamiętałam z młodości; ludzie się nadziwili, nie mogli, że taki akuratny, podobny...

W izbie kurzy się od tartego drewna, przeto część rzeźb przechowują w komorze, Robakowski przyniósł ich całe pudło, wystawił na stół; Michał Anioł z wielkimi, białymi skrzydłami, natchniony, pewnie podczas podniesienia, ksiądz proboszcz, przysadzisty, kanciasty sportowiec z piłką, brodaty biskup, święty Jerzy w srebrnym hełmie, ale bez konia.

— Ale najchętniej to rzeźbię dawnych ludzi, zawsze coś w pamięci zostało, jak kto wtedy wyglądał; chło-

pów i kobiety, noszących się po łączycku, w długich strojach ludowych, ludzi przy pracy, kowali walących w kowadło; zrobiłam też cały orszak weselny, który poszedł do „Cepelii”. A teraz niech pan na to popatrz — doprowadza mnie do oszklonej szafy, na której stoi radio tranzystorowe.

Za szkłem działy milicjant w pełnym rynsztunku, zgarbiona staruszka z kijem, o smutnej, pełnej starczej goryczy twarzy, ta sama, która chodziła w Witonii po prośbie; jest Matka Boska z Dzieciątkiem i Wołodyjowski na koniu, malarz królów polskich, Matejko, brodaty, z laską i w krawacie, Mojżesz o mądrej twarzy, z tablicami, gdzie spisane paragrafy na ludzkie życie, pełen werwy wesolek — wiejski muzykant szarpiący miechy harmonii; no i butny szlachcic Boruta w bielutkim kontuszu i czerwonej czapce, z pucharem w ręku, wsparty na bezculce gorzali oraz tenże sam Boruta, ale już przemieniony, nagański, czarny, z rogami i wielkimi widłami.

— Jak diabeł Boruta był kawalerem, to chodził za panną i mocno zbytkował, ale tylko do północy, bo później rosły mu rogi i się całkiem przemieniał; specjalnie nosił tę czapkę, żeby nikt nie dojrzał rogów, ale raz, kiedy zbyt długo się przeciągnęło, ktoś mu ściął rogą czapkę i zobaczył rożyska! na becze z gorzalką siedzi papuga, która, gdy Boruta odchodził, zostawała w chałupie i jak się nawiązał inny chłopak i miał coś z panną, zaraz wszystko diabłu wygadała...

Nazwiska łączyckich rzeźbiarzy znane są dobrze miłośnikom sztuki ludowej w Polsce, Oraczkowie, Witonii, okolicie Świnie, gdzie jest największe skupisko twórców, odwiedzają gości z zagranicy, wycieczki krajowe, a prace łączyckich artystów znajdują się w kolekcjach zbieraczy wielu krajów świata i zdobia największe muzea.

— Co bym, proszę pana, nie zrobiła, wszystko ode mnie biorą! Moje figurki są w różnych muzeach, ich zdjęcia w gazetach, o mnie też tam piszą; kręcili tutaj filmy jeden jest nawet w Szwajcarii; wycieczki przyjeżdżają do mnie, goście zagraniczni, studenci, młodzież; z Łodzi, Warszawy, uczniowie z Witonii i z Gledziannowa.

Kiedyś przyjechał ktoś z Warszawy i musiałam zrobić biskupa do Niemiec, nie wiedziałam jednak, jak go „ubrać”, ale w muzeum mi powiedzieli, że on chodzi w fioletowym; rzeźbiłam też szonki, które poszły do Niemiec, Warszawy, Poznania, a nawet do Ameryki. Otrzymałam bardzo dużo listów i życzeń, o nich pan popatrz, jaka to ładna kartka noworoczna od jednych państwa ze Szwajcarii. A ile mam zdjęć w albumie, widzi pan, to ja z moim na pięćdziesięciolecie ślubu, a tu moje figurki na łące, obok krowy ustawione; a tu znowu zdjęcie z Łodzi, com ja wtedy nie przeżyła, to było w 71, jak dostalam nagrodę i pierwszy raz w życiu siedziałam przy stoliku w kawiarni...

— Pani Filomeno, a co by pani chciała jeszcze w życiu zrobić?

— Jeszcze trochę maluję, ja to lubię, przykrzy mi się jak sobie nie podlubie w tym drewnie; kiedyś bardzo pragnęłam, żeby to moje rzeźbienie nie zaginęło, żeby ktoś przejął je po mnie i to się spełnia, bo moja córka, Jadwiga Matusiak, siedząca na gospodarstwie, też rzeźbi wieczorami, i to bardzo zgrabnie, „Cepelia” wszystko bierze; siedemnaście lat wnuczek Maciek też rzeźbi, a jest jeszcze jeden bardzo zdolny, chodzi do siódmej klasy, i on także zaczyna, bardzo ładne rybki i inne zwierzątka mu wychodzą, ale o nim lepiej nie pisać, bo może będzie się wstydił.

Na nogi nie mogę chodzić, serce mi wyskakuje z trybów, ale chciałabym, jeszcze wyrzeźbić moich ojców, ale tak, żeby ładnie wyszły, żeby się udało; chciałam wyrzeźbić mojego męża, ale on się śmieje, bo jeszcze nie czas; myślę jednak, że wyrzeźbię któregoś dnia i jego, i mnie, oboje nas razem idących tyle lat przez życie, aby dzieciom została pamiątka...



skarbów na łączyckim zamku diabeł Boruta, który dla ubawu straszyl ludzi na bagnach; nie jeden chłopina, jadący z jarmarku na galantym cyku, bił się w dekę i przysięgał na wszystkie świętości, że na własne oczy widział ogniatęgo z rogami byczymi; strach szedł po ludziach, kupowali lagi grubachne opatrzone ludzikami, świętymi, znakami różnymi, które miały chronić przed siłą nieczystą; tak młodzi uczyli się historii, bo do szkół mało który uczęszczał, poznawali legendy, tradycje, z których później narodziło się łączyckie rzeźbiarstwo.

Dziewięćdziesiąt pięć lat przeżył Ignacy Kamiński, a życie miał wędrownie, tulące; poszedł z carskim wojskiem aż za Kaukaz, jeździł wiele po Polsce, występował się ludziom, wiewcował, postował, aż nagle wraz ze stłknięciem w kosciach siódmego krzyżaka poczuł w sobie artystyczne ciągoty; lata nie pozabawiły go zdrowia, humoru, fantazji, ani też talentu, przeto, chociaż diabeł Boruty nigdy nie widział, zaczął rzeźbić w drewnie, rychło zyskując w oczach znawców uznanie, sąsiadki szacunek, a wraz z nimi posypały się nagrody, dyplomy i wyróżnienia.

W wieczorowej albo nocej porze włożyły się po łączyckich polach i łąkach dusze potępione „jeomentrów”, czyli mierników, którzy po śmierci musieli prostować krzywo wymierzone, na chłopską krzywdę, granice; duchy te, zwane również „świckami” — widział je Ignacy Kamiński — były jak koń rosły, ale ludziom podobne, i chwiałały się w iesiennym wietrzysku niby baletnice w teatrze; powiadał ludzie, że jak taka świcik zawołać, to przyjdzie, więc Ignacy zawołał, że to niby ognia prosi, bo chce fajkę zakopcić, ale świcika nie przyszła, zmyślna jucha, zmiarkowawszy, że Kamiński jest niepalący...

Nie pogadał Ignacy ze świciką, ale dziś, po wielu, wielu latach, te zwiewne widziadła postaci mierników przemieniły w kształt masywnych kłoczków drewnianych, przypominających

z gesto belkowanym stropem, Filomena Robakowska, kobieta przysadzista, o rumianej, pozbawionej zmarszczek twarzy, zalamana z rozpaczłą ręką.

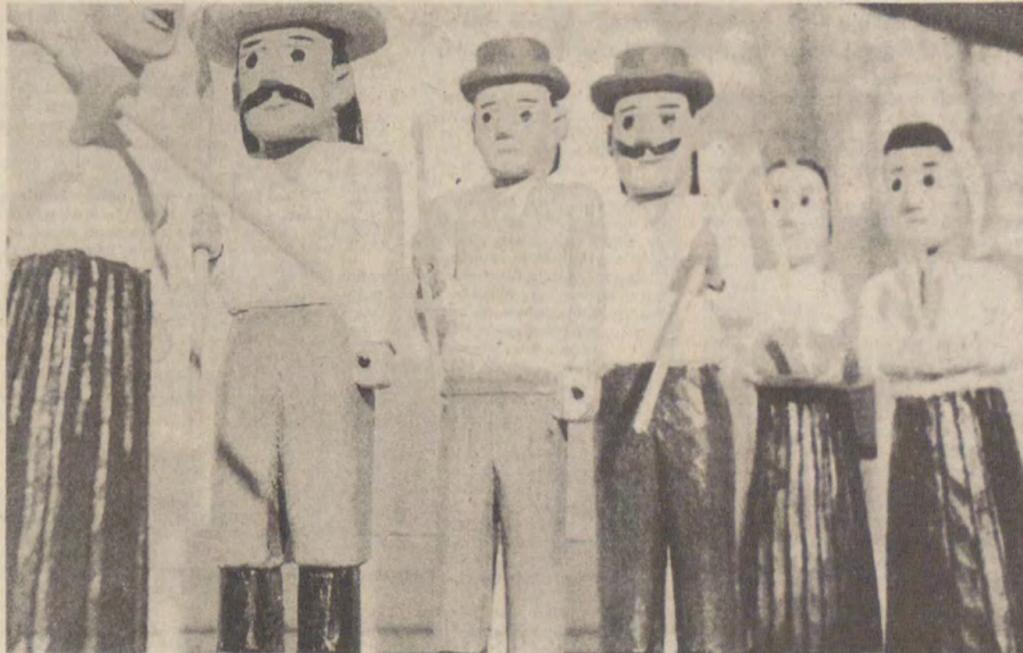
— A nie mówiłam ci — wróciła się z wyrzutem do męża — że dziś ktoś będzie, bo miałam ten sen? Ale ty w śmiech, niedowiaraku, a tu brudno jak w chlewie. Panie, jakiej ja se budy napytałam, Jezusie święty, już wczoraj chciałam sprzedać te pierońskie kureczaki. W chałupie trzymam, bo kwoka taka zółta, że te białe przyjmuję, a ciemniejsze tłucze dziobem, aż się puch sypie z biedactwa!

Siadła pośrodku zagraconej izby, opuchłe nogi kryje z zawstyżeniem pod długą spódnice, ale złożonych na podolku, nabrzmiałych niezdrowo dłońmi nie da się ukryć; patrzy na mnie z uwagą i, pewnie żeby odwrócić moją uwagę od tych widrów kurzego pomiotu i kureczaków, które Robakowski zaczął wypędzać na świeże powietrze, mówi:

— Panie, jak ja spojrzę na kogoś, to zaraz bierze mnie taka ochota, żeby go wyrzeźbić; pana też wyrzeźbię. Ale teraz nie mogę już tak pracować, cztery tygodnie leżałam na zapaleniu płuc, osłabłam, puchnę często od serea i nerek; w dodatku te kureczaki mnie wnerwiają, ręce się trzęsą i nie nie wychodzi; chciałam zrobić dla muzeum prezent, bo znów mnie zaprasza ten nowy kierownik, król Krzywoustego już wyrzeźbiłam, więc się do królowej, mąż mi za głobko przyciął kłoczek, ja to tam iakoś wyglądam, ale widzę, że ta królowa nie bardzo wychodzi, na starą babę wygląda, a powinna być młoda; co tu zresztą można zrobić, w jednej, przyciasnej izbie?...

Pod oknem, wychodzącym na podwórze, stół warsztatowy, pod stołem kojec dla kureczaków; w korytku leżą dłutka, noże, małutkie koziki, sztamajzy; Robakowska podchodzi do warsztatu, bierze lipowy kłoczek i umieszcza go w drewnianym imadle, ozdobionym kolorową płaskorzeźbą.

— Od tego zaczyna się rzeźbienie, w ręku przecież kłocia nie utrzymam;



Zdjęcia wykonał WŁODZIMIER PARYS

Dalszy ciąg ze str. 1

cięż jeszcze runda jesienna, a po zimowej przerwie — przed piłkarzami cała runda wiosenna. Jest zatem szansa na rehabilitację i odrobienie strat.

Niezależnie od tego, jak potoczą się losy piłkarskiej jedenastki LKS w sezonie 1974—1975, trzeba powrócić do pytania, jakie postawiłam w „Odgłosach” w ubiegłym tygodniu: dlaczego w drużynie LKS tak często zdarzają się sytuacje kryzysowe? Dlaczego co parę lat sympatycy łódzkiej jedenastki muszą niepokoić się o losy swej drużyny?

Najprościej byłoby powiedzieć, że jest to tylko przejściowy kryzys formy. Ale niestety — przyczyny takiego stanu tkwią także znacznie głębiej.

1.

„W ligach okręgowych występują rezerwy 13 drużyn ekstraklasy — piąta niedawno „Trybuna Ludu”. — Brak w nich tylko drugich zespołów GKS Tychy, Ruchu Chorzów i Górnik Zabrze. W pierwszym wypadku jest to w pewnym sensie uzasadnione, wszak beniaminek ekstraklasy jeszcze przed dwoma sezonami był właśnie w trzeciej lidze. Natomiast kłopoty kadrowe trenerów Vicana i Wierzbickiego są zrozumiałe w świetle absencji rezerw Ruchu i Górnik w rozgrywkach wojewódzkich. Gdzie mają nabierać rutyny i boiskowego obycia następcy Maszyzka, Bull, Gorgonia czy Szarmacha?

Inna rzecz, że i rezerwy pierwszoligowców, znajdujące się w klasach okręgowych, w większości prezentują słaby poziom. Jedenastki Zagłębia Sosnowiec, Pogoni Szczecin, Polonii Bytom, LKS czy wrocławskiego Śląska wloką się w ogonach tabel. Wiele do myślenia daje fakt, że drugoligowa Arkonia ma znacznie lepszy drugi zespół od występującej w ekstraklasie Pogoni, podobnie jak Stal Stalowa

Wola od Stali Mielec.

Drugi zespół LKS, grający w lidze wojewódzkiej seniorów, zajmuje — podobnie jak jego starsi koledzy z I ligi — ostatnie miejsce w tabeli, mając na swoim koncie zyskane 4 punkty i straconych — 14. W jesiennej rundzie II zespół LKS strzelił tylko 2 bramki, tracąc 8. W nieco lepszej sytuacji znajdują się juniorzy LKS, zajmując drugą pozycję w lidze okręgowej, z 17 punktami uzyskanymi, 3 — straconymi i ze stosunkiem bramek 31:7.

Istnieje jednak spora przepaść między zespołem I i zespołem II — przepaść umiejętności, wykształcenia i także obycia z publicznością meczów ekstraklasy. Dobry nawet zawodnik z rezerwy, występujący w ważnym pierwszoligowym spotkaniu, stremowany i nie zgrany z resztą, łatwo może popełnić rażące błędy, przekreślając tym swój awans i możliwość pozostania w reprezentacji klubu. Fakt, że taka sytuacja powtarza się nie tylko w LKS, nie jest chyba pocieszeniem, a tylko sygnałem, że ze szkoleniem

że w podobnej sytuacji znajdują się i inne drużyny pierwszoligowe. Przykład Grzegorza Lato, z którym pertraktowano przed mistrzostwami świata i który miał po występach w RFN przenieść się do Łodzi, ale wstruszone przywiązaniem mieleckich kibiców uległ i został w Mielcu, czy przykład Tadeusza Pawłowskiego z Zagłębia Wałbrzych, który zamiast do LKS przenieść się do Śląska Wrocław wskazuje, że coraz trudniej jest pozyskać zawodnika z innego klubu. W tej sytuacji godny polecenia jest

Szurkowskich i Szozdów. Tak, jak po mistrzostwach świata na podwórku wielu chłopców bawiło się w Gorgonia, Dejnę, Szarmacha i Gadochę. Ktoś mądry powiedział kiedyś, że nie będzie dobrej piłki w społeczeństwie, którego najmłodsza męska część nie będzie godzinami uganiała się za szmacianką. Czasy szmacianki dawno minęły, ale myśl ta zawiera racjonalne jądro. Jednakże z jedenastki LKS tylko Jan Tomaszewski może mieć młodocianych naśladowców. Nie zwalnia to wprawdzie działaczy sportowych i trenerów z obowiązku szkolenia nie tylko jego następców. Myślę, że warto byłoby ten wrzót o sprzężeniu zwrotnym uzupełnić przykładem NRD, gdzie masowość sportu, rozbudzenie sportowych zainteresowań u najmłodszych, owocuje sukcesami na międzynarodowych stadionach. Przypomnienie tej prawdy stało się już nudne.

Ale w Łodzi występuje też uszkodzenie w sprzężeniu zwrotnym idącym w innym kierunku. Trudno byłoby powiedzieć, że nie mamy piłkarskich tradycji. Przecież LKS był kiedyś mistrzem Polski, przecież drużyna Łódzkiego Klubu Sportowego była powodem niejednej radości jej kibiców. Grali w jej barwach liczni i dobrzy zawodnicy. Cóż się z nimi stało?

Różne są koleje losów ludzkich i trudno dziwić się sportowcom, że kończą karierę, lokując się tam, gdzie im wygodniej. Ale przecież większość byłych sportowców ze sportem nie zrywa, nie każdy zostaje trenerem, wielu jednak zostaje działaczami. Z byłych graczy LKS najczęściej słychać o Leszku Jezierskim, który po niedługim okresie pracy w inaczejzym klubie, przeniósł się później do RTS Widzew, gdzie z dużym powodzeniem trenuje tamtejszą jedenastkę, zajmując obecnie czołowe miejsce w tabeli II ligi. A chodzi mi właśnie o utrzymanie stałej więzi z byłymi zawodnikami, o zaliczanie ich w poczet działaczy z chwilą ukończenia czynnej kariery sportowej, o stworzenie możliwości wykorzystywania ich wiedzy i umiejętności. O ciągłość piłkarskiej tradycji wreszcie. O ciągłość sportowej tradycji. Jest to również ważne, jak ważne jest rozbudzanie sportowych zainteresowań u młodzieży.

Byłabym skłonna uważać, że nie przypadkiem w 30-letniej, powojennej historii drużyny piłkarskiej LKS było około 20 trenerów, a w tym najdłużej zajmował się reprezentacyjnym zespołem klubu Władysław Król. I uważam jeszcze, że ratowanie reputacji pierwszoligowej drużyny LKS przez zmianę trenera jest wyjściem może doraźnym i słusznym, ale nie radykalnym. Pamiętam, jak kibice, niezadowoleni ze sposobu prowadzenia piłkarzy LKS, wznosili okrzyki nieprzychylnie ówczesnemu trenerowi Józefowi Walczakowi. LKS nie spadł wówczas do drugiej ligi, Józef Walczak odszedł z klubu, a jego miej-

ZA LINIĄ AUTOWĄ

BOGDA MADEJ

Ale dobra pozycja juniorów LKS nie zmienia obecnej sytuacji na ławce rezerwowej pierwszoligowego zespołu. Potrzeba czasu i wysiłków trenerów, aby młodzi zawodnicy nabrali niezbędnych umiejętności do występów na pierwszoligowych boiskach. Mogą oni, co najwyżej, zasilić rezerwy LKS.

młodych w pierwszoligowych klubach nie jest najlepiej. Fakt ten potwierdza jeszcze i to, że ostatnio jedenastkę LKS zasilił zawodnicy nie z rezerwy, a z innych, często pozalódzkich klubów.

Tu muszę znowu powrócić do sytuacji sprzed trzech lat, kiedy to na ławce „Odgłosów” w artykule pt. „SPADNA, CZY NIE SPADNA?” pisałam:

„Kadrowe kłopoty LKS i innych pierwszoligowych drużyn, to wynik niewłaściwego systemu szkolenia piłkarzy. Mielśmy kiedyś dobre szkoły „Włókniarza” i „Hali Sportowej” i byliśmy przykładem dla całej Polski”. I co się zmieniło przez te trzy lata?

Rozegrane niedawno spotkanie pierwszoligowego zespołu LKS z „drużyną talentów regionu łódzkiego” — mimo podzielonych opinii — nie spełniło swego zadania, nie przyniosło oczekiwanego rezultatu. Nawet jeśli ten czy ów zwrócił uwagę trenerów swoimi piłkarskimi zdolnościami, to nie było powodów do zachwytu. Poza tym takie spotkanie pierwszoligowej drużyny z najlepszymi zawodnikami regionu — a podobne mają być organizowane i w przyszłości — nie spełnia swojej roli, jeśli wyróżniającymi się zawodnikami nikt solidnie się nie zajmie, nie zacznie ich rzetelnie szkolić, aby wrodzone umiejętności wzbogacić wykształceniem technicznym i taktycznym.

Spotkania z „drużynami talentów” nie zastąpią jednak solidnego szkolenia narybku piłkarskiego i to od podstaw. Jeżeli się tego nie zrobi, to ciągle pierwszoligowy zespół LKS skazany będzie na doraźne łatanie dziur, na ściąganie zawodników z innych zespołów. Metoda to czasem konieczna, ale trzeba przecież pamiętać,

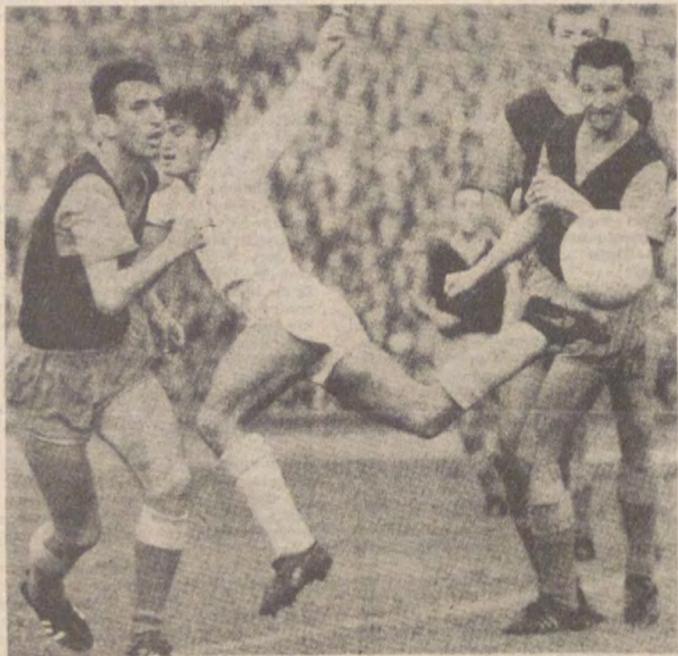
przykład Wisły Kraków, której trzon zespołu stanowią wychowankowie klubu i która posiada liczny zastęp trampkarzy, przygotowujących się do założenia piłkarskich butów.

2.

Dla uspokojenia sumień działaczy sportowych ukuto bardzo zgrabną pseudoteorię o rzekomo „niepiłkarskiej Łodzi”. Kiedy nie chce się widzieć istotnych przyczyn, wtedy z łatwością ulega się różnym mitom. A mity mają to do siebie, że raz zakorzenione w świadomości niełatwo dają się stamtąd wykorzenić. Tak więc „Łódź nie jest piłkarska”, nie ma tu pod dostatkiem talentów, nie ma skąd czerpać młodych i zdolnych piłkarzy. Podejrzewam, że raczej tych talentów nikt nie szuka.

Kto na przykład szuka talentów piłkarskich w szkołach? LKS ich na pewno nie szuka, choć można by uważać, że współpracuje ze szkołami „stoj dobrze, bo dwaj nauczyciele wychowania fizycznego są jednocześnie trenerami w klubie. Współpraca klubów ze szkołami nie zastąpi też specjalizacji sportową w szkołach. Nikt przecież nie zagwarantuje, że przyszli piłkarze akurat znajdą się w tych szkołach, gdzie w programie wychowania fizycznego główny nacisk kładzie się na piłkę nożną.

Jeśli bym miała uwierzyć w „niepiłkarskość Łodzi” to tylko dlatego, że brak indywidualności piłkarskich w LKS nie rozbudza należytego zainteresowania u młodzieży. Wiemy przecież z doświadczenia, że występuje tu pewnego rodzaju sprzężenie zwrotne. Po kolejnych zwycięstwach Polaków w Wysiegu Pokoju pełno było na ulicach i parkowych alejkach nieletnich



Fot. Archiwum

NASZ CZŁOWIEK W PSS

Autor artykułu — student — pracował w czasie wakacji w sklepie PSS. Z jego obserwacji powstały niniejsze notatki.

Znajdują podczas sprzątania jedną z moich, zagryzłonych przedkim pismem kartek. Pytają:

— Co, pan sprawozdanie pisze...?

— Tak, do dyrekcji... — odpowiadam żartem.

— ... tylko o nas niech pan dobrze napisze, a o klientach... — patrzę mi w oczy, uśmiechają się porozumiewawczo...

1.

— Co to jest, że ludzie w handlu nie chcą pracować? — zaczęła mnie dostawca ciastek. — Mało płatna praca, a odpowiedzialność często duża — sam sobie zaraz daje odpowiedź. Dialogujemy chwilę w przejściu. O nim. Ze dwadzieścia lat w transporcie. Ze zawsze przy ciastkach...

Torby cukru dźwiga student z Tunezji, w Polsce od trzech lat. Wysoka stawka za godzinę. Praca pociągowa. A godzina wyczerpującego wysiłku pleców, karku i rąk nierówną godzinom przeczekanym pod magazynem, w kabine samochodów.

Zwierza się młoda ekspertka: — Uczę się. Liceum Ekonomiczne. Po nocach... jeszcze trochę. Uciekam... Tu — żadnej satysfakcji...

Starsza pracownica mówi o mło-

dych, tych niechętnych i tych uciekających do innych zawodów, z zyczliwym uśmiechem:

— Niech uciekają...

Ale to tylko pozory beztrości. Tymczasem fakty są inne. W sklepach Powszechnej Spółdzielni Spożywców do normalnego stanu brakuje około 20 proc. fachowego personelu. W okresie urlopowym więcej...

Exodus z handlu trwa. W sierpniu rozwieszono na ulicach Łodzi ogłoszenia, zachęcające do pracy w sklepach i w transporcie, kierujące pod adres pracodawcy, obiecujące wyższe stawki. Nowa ustawa rządu, regulująca korzystnie zarobki w tej branży, weszła w życie w miesiącach letnich i w dużym stopniu rozładowała trudną sytuację.

A przecież starzy, doświadczeni pracownicy zdobyli już skalę porównawczą między wczoraj a dziś, która uodparnia na niewygody i braki, i wykaże, że kiedyś naprawdę było gorzej: ciężel, moźolniej... Na przykład krótko po wojnie. Wspomina emerytowana sprzedawczyni, wieloletni członek Spółdzielni Spożywców:

— Nie tylko sprzedawca trzeba było, ale pakować dużo towarów samodzielnie, ciąć, odważać, kroić więcej. Samemu. Bez pomocy hurtowni i przemysłu, który dziś posłusznie w

„torebki jednowarstwowe” (z takich właśnie przesypujemy słodki proszek do cukierki) zapakuje, banderolką oklei, Szufelki, co teraz służą niemal wyłącznie do przesypania luskane-grochu, jeszcze niedawno nieodzowne były do cukru, soli, mąki, artykułów najbardziej potrzebnych.

— Co pania najbardziej denerwuje...?

— Stoi się i stoi i patrzy w nieznane. — Zaraz też okazjonalny uśmiech.

Nuda. Senne zwłaszcza popołudnia. I teraz — gdy urlopy, gdy w sklepach spada frekwencja.

Po południu, również mniej dostaw. Klienci bardziej marudzą, wchodzą bełkocząc coś pod nosem, czasem nie wiadomo, czy „dzień dobry”, czy że „chleba nie ma”. Po pracy — zmęczenie i zniecierpliwienie. Jak jest klient — źle, jak go nie ma — jeszcze gorzej.

2.

1 LIPCA.

Zginyśmy grzbiety w ukłonach. Dyrektor, Kierowniczka. Fasujemy drelichy i czepki. Za ich nienoszenie dziewczęta będą płacić kary. Gdy zjawi się Sanepid.

2 LIPCA

O wpół do szóstej sklep rozpoczyna pracę.

— Najgorsze to mleko! — powiada tutaj. Podróże brzęczących koszyków spod magazynu do sklepu. Nogawki zawsze lekko spryskane mlekiem. Potem chleb. — Pan jest wysoki, to dobrze — kładę chleb na najwyższe półki.

Nie zorientowany w cenach i szczegółach, a do kupczenia nie uprawniony, przeżywa męki niedorozwoju i niedouczenia — przez klienta najczęściej utożsamiany z fachowym personelem. Stąd nie mnie odpowiadać, czy ta właśnie kasza jest perlowa, a jeśli ta, to czy cienka czy gruba. Albo, czy śledź z importu jest w pomidorach, czy może akurat w jakimś innym sosie...

Pierwszy, przekrojony krzywo bochenek wzbudza śmiech. Wory ziemniaków wywlekam z zapleczka za parciane uszy.

Z trudem mija ostatnia godzina. Wszyscy już wychodzą.

5 LIPCA

U progu robotniczej praktyki, w oczach kierowników sklepu, brzdęków na budowach, magazynierów wielkich chłodzi jest student zjawiskiem dość nieobliczalnym, a pewna nieufna ostrożność, z jaką wita się „nowego”, wydaje się być uzasadniona. Pierwszego dnia zadają sobie tu pytanie:

— Dobry student, ale... jaki pracownik?

Młodzi ludzie bywają leniwi, niechętni, opieszali, czasem lekomyślni. A sklep jest miejscem, gdzie „na gorąco” rozlicza się z całodziennych utargów, gdzie w sprawach pieniężnych obowiązuje szczególna dyscyplina i ostrożność.

Miałem odrobinę szczęścia. Trafiliem pod dobry dach, do sklepu, gdzie „zielonym studentem” się nie rządzi,

nie włada, nie pomiata. Kierowniczka, Stefania Sierszeń spędza co dzień w sklepie ponad sześćdziesiąt godzin! Zastępuje także koleżankę. Mimo to,



Fot. Włodzimierz Paryś

GDY SŁOWO TEATREM SIĘ STAŁO

...artysta przestał myśleć obrazem. Była to epoka „błyskotliwych rozmówców”. Rozkwit angielskiej komedii. Moda na angielski humor, który był jednocześnie odpowiedzią na epokę wiktoriańską. Komedie nie mogły wówczas pisać dowcipem puentyzmu i mieszczańskiej moralności, a więc śmiała się „na poważnie”. Złoty wiek Oskara Wilde uczynił z tej tendencji program. „Brat marnotrawny” nosi tytuł „The Importance of being Ernest”. („Bądźmy poważni na serio!”). Oczywiście chodzi tu także o pewną grę słów. Ernest znaczy „poważny” i jest jednocześnie imieniem budzącej zaufanie dziewcząt, bohaterki komedii Wilde’a. Tych wieloznaczności w przedstawieniu Witolda Zatorskiego jest o wiele więcej. Albowiem tekst sztuki Wilde’a, a zwłaszcza jego warstwa słowna stała się w spektaklu elementem wiodyącym, pretekstem do „zabawy w słowo i zabawy słowem”.

A więc werbalizm i jego dominacja w komponowaniu postaci. Reżyser ustąpił aktorowi, pozwalając mu jedynie na gest ilustracyjny, jako dopełnienie konwersacji. Szczególnie silnie akcentują tę koncepcję Aleksandra Krasoń, Marek Barbasiiewicz i Celina Klimeczakówna. W roli Andrzeja Maya (John Worthing) dostrzec można odejście od tej konwencji, próbę przełamania bariery słowa i zaakcentowania „dynamicznych” środków wyrazu. Powiedziałbym, że Andrzej May komponuje swoją rolę w sposób, który Wilde określił „Brata marnotrawnego”: „pierwszy akt jest pomysłowy, drugi piękny, trzeci obrydlawy i inteligentny”.

Jest to propozycja interesująca, ale niezgodna z poetyką spektaklu Witolda Zatorskiego, który poprzez skonwencjonalizowany ruch i gest sceniczny uwypuklił. Jako się rzekło, element słowny. Na pograniczu jest jako dwóch nurtów interpretacyjnych stacja Zygmunta Zintel (Pastor), Eugeniusz Korczarowski (Kamerdyner), Ryszard Słogowski (Służący) i Maria Białobrzaska (Goswianka). Określiłbym to, jako pewnego rodzaju założony stereotyp, który kształtowany przez słowo nadaje gestyce jednorodny znaczenie ilustracyjne i jednocześnie tworzy kompozycję reliefową, dla której temem pozostaje w spektaklu „grafika” scenografii. Jest ona złożona z luźno komponowanych elementów, raczej skróta i sama w sobie bez określonego znaczenia, w zetknięciu z aktorem i kostiumem nabiera dopiero walorów znaczeniowych. Owa znaczeniowość, to także jeszcze jeden walor, który podkreśla słowo, nie starając się zbytnio emanować widza.

W spektaklu, który jest „obrazem słowem malowanym”, ciekawie komponuje się postać Cecylii Cardev, proponowanej przez Wandę Chwiłkowską. Napisałem wyżej o stereotypie, jako świadomym założeniu, napisałem także o scenografii, że jest złożona z luźno komponowanych elementów. Wydaje się, iż owa te stwierdzenia można użyć do określenia i precyzacji rysunku roli Wandy Chwiłkowskiej. Albowiem trzymając się złożonego stereotypu aktorka potrafiła zmieścić się w stylizację spektaklu, lekko tylko przerysowując gest, który jednak pozostał gestem ilustracyjnym.

W sumie spektakl podporządkowany jest zabawie w konwersację, szermierce słownej i sztuce „błyskotliwych rozmówców”. A więc raz jeszcze „słowo teatrem się stało”.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Oskar Wilde „Brat marnotrawny”, przekład: Cecylia Wojewoda, reżyseria: Witold Zatorski, scenografia: Iwona Zaborowska, Teatr Nowy — Mała Sala, premiera prasowa: 11. X. 1974 r.



Fot. A. Brustman

sce zajął Paweł Kowalski, który — nim przyszedł do LKS — Kazimierz Górski — wydzwignął zespół na wysokie miejsce w pierwszoligowej tabeli. Dziś Kazimierz Górskiego nie ma już w LKS — choć nadal jest podobno konsultantem zespołu — a kibice wznoszą okrzyki nieprzychylnie Pawłowi Kowalskiemu. Słyszałem, że władze klubu zamierzają wymienić Pawła Kowalskiego na innego trenera. Tonący brzytwy się chwytają, ale nie rzucają ewentualnemu następcy Pawła Kowalskiego długiej kariery w LKS, chyba, że nastąpi zmiana w „kadrowej polityce” klubu. Tylko że skutki tego można będzie odczuć najmniej po pięciu latach, a do tej pory jeszcze nie jeden trener przyjdzie i odejdzie z LKS.

3.

„W łódzkich warunkach praca z młodzieżą jest bardzo trudna — cytowałam jesienią 1971 roku na łamach „Odgłosów” wypowiedź jednego z ówczesnych działaczy LKS. — Słyszemy ciągle pretensje, że kluby nie szkolą młodych piłkarzy, ale nikt nie zastanawia się, gdzie mamy to robić. Zdarza się przecież i tak, że w poprzek jednego boiska trenuje 100 zawodników...”

Sytuacja w tej dziedzinie poprawiała się o tyle, że LKS posiada już dwa boiska do treningu dla piłkarzy, ale będą oni mogli z nich korzystać dopiero za... 2 lata. Zasiano na nich trawę, która musi umocnić się, aby służyć sportowcom. Mają więc piłkarze w perspektywie poprawę warunków treningu. Na razie korzystają też z ośrodka treningowego przy ul. Ogrodowej, gdzie trenuje kilkanaście drużyn. W ośrodku tym do niedawna brakowało ciepłej wody.

Kiedy LKS był drużyną drugoligową, stadion piłkarski otrzymał nowe trybuny i sztuczne oświetlenie. Przypadło to się niewątpliwie. Nie mniej, nie remontowana od 15 lat płyta stadionu głównego służy dziś nie tylko do rozgrywek ligowych i treningów pierwszoligowców, ale wykorzystywana jest także na inne imprezy. Nie zawsze sportowe. Skóra cierpnie mi na plecach, gdy pomyślę, co będzie, kiedy remont płyty stanie się nieuchronny.

Niewłaściwe warunki treningu mają w LKS nie tylko piłkarze. Klub jest wielosekcyjny i każdy skrawek powierzchni zdanej do ćwiczeń wykorzystywana jest do maksimum, a na skończenie treningu jednej grupy niecierpliwie czeka inna.

Chciałabym tu przypomnieć pewną ogólniejszą prawdę, o której mówi się u nas od czasu do czasu. Kiedy nie mamy basenów, to nie mamy pływaków, kiedy nie mamy lodowisk, to nie mamy łyżwiarzy i hokeistów, kiedy nie mamy sal gimnastycznych, to nie mamy gimnastyków i lekkoatletów, kiedy nie mamy... itd. Przypomina mi to słynną anegdotę o Napoleonie, który miał pretensję, że go w mieście, do którego przyjechał, nie powitano salwą z armat. Nie powitano go, bo — po pierwsze nie mieli armat. Jak był drugi powód do dziś nie wiemy, gdyż Napoleon podziękował

za wyczerpującą odpowiedź. Dobrze wiem, że program budowy obiektów sportowych jest ogromny, a możliwości znacznie mniejsze i one właśnie określają hierarchię i realizację programu zaspokajania tych potrzeb, ale ciągle pokutuje u nas tendencja do pomijania budownictwa sportowego i rekreacyjnego przy każdej możliwej okazji.

Proszę bowiem zwrócić uwagę, że w szkołach boiska są mniaturowe, a często w dodatku zalane asfaltem, że w nowych osiedlach można jeszcze dostrzec troskę o najmłodszych, którym najczęściej funduje się piaskownicę i huśtawkę. Co natomiast mają robić starsi? Gdzie mają pograć w piłkę nożną, siatkówkę czy nawet kometkę? Albo po prostu pobiegać?

Wielce symptomatyczny jest dla mnie fakt, że boisko treningowe dla RTS Widzew wybudowali drużynie piłkarskiej kibice i działacze sportowi w czynnie społecznym. Nie ma w tym wprawdzie nic złego — przeciwnie, jest to rzecz godna pochwały i naśladowania, ale co będzie z warunkami rozwoju tej drużyny, jeśli splątą wszystkim bezczelnego figla... wejdzie do I ligi? Można z wielkim prawdopodobieństwem założyć, że po jednym sezonie, powróci do II ligi i to przede wszystkim dlatego, że nie będzie miała możliwości dalszego rozwoju. A czy Łódź nie stać na to, aby miała dwie drużyny piłkarskie w pierwszej lidze?

4.

Co robić? Niewątpliwie optymistycznym faktem jest, że pytanie to zadają sobie i innym nie tylko kibice, ale też działacze sportowi, trenerzy, zawodnicy. Pytanie to powtarzali też liczni moi rozmówcy, zgłaszając różne mniej lub bardziej istotne propozycje rozwiązań.

Na przykład Leszek Jezierski — trener RST Widzew — proponuje opracowywanie i kierowanie się strategią piłkarską w skali całego regionu. Zdaniem jego, stosowanie takiej strategii pozwoliłoby widzieć potrzeby kadrowe wszystkich klubów, a zawodnikom wysiadującym „bezpłodnie” na ławkach rezerwowych pozwoliłoby grać w innych zespołach, nie tracąc kontaktu z boiskiem. „Wypożyczony” innej drużynie zawodnik nie traciłby łączności ze swoim klubem, do którego miałby zagwarantowany powrót.

Przeszkadza temu partykularizm klubów — takiego zdania jest Tadeusz Malarski, przewodniczący sekcji piłki nożnej Wojewódzkiej Federacji Sportu. Federacja stara się wprowadzać jednolitą strategię w poszczególnych dziedzinach sportu, ale kluby nie zawsze chcą się temu podporządkować. Federacji przeszkadza fakt, że nie ma prawa ingerencji w politykę klubów, federacja może występować



Zdjęcie z meczu Górnik Zabrze — LKS z roku 1960.

Fot. CAF Archiwum

z inicjatywami, ale powodzenie tych inicjatyw zależy od dobrej woli klubów. Dąży się na przykład do stworzenia warunków prawidłowego rozwoju piłkarzy, tak, aby zdolni piłkarze mieli możliwość awansowania do lepszych zespołów, aby było to kontrolowane, stało się zasadą i procesem naturalnym.

Wojewódzka Federacja Sportu postuluje pod adresem LKS powołanie trenera-koordynatora, który nadzorowałby szkolenie wszystkich drużyn klubu. Natomiast w gronie starych działaczy LKS narodził się postulat powołania „głównego specjalisty do spraw piłki nożnej”, a więc człowieka, który byłby zorientowany w sytuacji klubu macierzystego i innych klubów, obserwował rozwój tego sportu na świecie, troszczył się o wprowadzanie nowości treningowych i taktycznych, szukał nowych talentów, a także troszczył się o rozwój bazy dla piłki nożnej w klubie.

Proponuje się również wybudowanie przez LKS dużego i nowoczesnego ośrodka szkoleniowo-treningowego poza miastem, z którego usług mogli

by korzystać również sportowcy innych klubów.

Jak z tego widać myśli się o sposobach nie tylko doraźnego wyjścia z impasu, ale na myślenie nie można poprzestać. Nawet nie na dyskusjach. Od słów trzeba przejść do czynów. Najwyższy już czas na to, gdyż sytuację kryzysową w LKS przeżywa nie tylko piłka nożna, a także nie tylko LKS. Jak się dobrze przyjrzyć sportowi w Łodzi, to poza siatkarkami STARTU, koszykarkami LKS, kolczymi torowymi, piłkarzami ręcznymi ANILANY nie bardzo jest się czym pochwalić. Chyba, że awansem badmintoniści TKKF PIAST, którzy o bok RAKIETY są drugim łódzkim zespołem w ekstraklasie. Ale — coś mi się wydaje — że to nie zaspokoili ambicji łódzkich kibiców.

BOGDA MADEJ

P.S. Do mojego artykułu „Pusta ławka” zamieszczonego w poprzednim numerze wkradł się błąd. W zdaniu: „Minęła połowa jesiennej rundy bieżącego sezonu — 1974-1975 i LKS zajmuje 16. ostatnie miejsce, mając na koncie stosunek punktów 7:14 i stosunek bramek — 4:12”, powinno być oczywiście stosunek punktów 4:14 i stosunek bramek 5:13.

do końca imponuje kondycja i równowaga ducha. Spełnia zapewne typ kierownika idealnego, energicznego fachowca i dalekiego od apodyktyczności, zżyźnionego człowieka. W tym „SAM” słyszałem parokrotnie o „wyrabianiu ponad plan”, o premiach i nagrodach, które tu ponoć właśnie spotykają pracowników, częściej niż gdziekolwiek indziej.

11 LIPCA.

— Panie Tomku, niech pan wyciągnie wino!
— Panie Tomku, te skrzynki trzeba stąd zabrać!
— Panie Tomku, margarynę do chłodni!
— Panie Tomku, soli!

24 LIPCA.

Wpół do piątej. Piasek w oczach. Ciemno. Niskogranaowe chmury. Deszcz. W autobusie rozpoznaję zaspane oczy tych samych, jak każdego dnia, robotników.

3.

— Chleb bardzo stary?
— Bardzo nie... wczorajszy chyba... taki przywieźli.
— Wola boża... — wzdycha obywatelka i dodaje: — Trzeba brać co jest.

Ale obok takich łagodnych, konformistycznych postaw, są i te częstsze, prawujące się głośno o bochenek świeżego chleba na niedzielę czy święto.

Przerzucam chleb z półek wyższych na niższe, świeży i pachnący. Nad głową już sięgają klienci. Tempo, tempo. Przez moje ręce setki bochenków.

— Widzisz, Jadzka — mówi blade

do drugiej, jeszcze bledszej i gwałtownie lykającej ekliwie powierzchni magazynu — czego to ludzka ręka nie zrobi...

Obie te kobiety w białych fartuchach, omdlewają z wysiłku, na wórach cukru, po rozładowaniu stu czterdziestu skrzyń z tanim winem, kilku tysięcy butelek „białego, siodełkiego, owocowego”...

— Pilnować trzeba tych, co to jedną butelkę za pazucho, albo w spodnie, a drugą do koszyka — informuje mnie emerytowany magazynier z Widzewa, w sklepie na pół etatu.

Stojąc na przewróconym transporterze, obserwuje długowłosych, wciśniętych w modne spodnie i młodych robotników, pachnących kitem, którzy, przy wejściu, pośpiesznie wpychają butle jabłeczniaka za pasek spodni i przysyłają marynarką. Wszyscy amatorzy tegoż wina spotykają się przy kasie.

4.

Gdy przyjeżdżają „ukochane chłopcy”, z mlekiem, wodką, czy chlebem, spoceni, krepki, zylaści, niskoczołi transportowcy, władza sklepu wybiega na próg, wykrzykując sztucznie cienkim, pieczętliwym głosem, słowo — znak wywoławczy, wciąż to samo, słowo egalitarne: — Józki!!!

A „Józki” wciągają stopy skrzyń na platformę ciężarówki i mocują je mokrą od deszczu liną, albo wooszą na plecach, spod kurzu plandeki, setki toreb cukru.

Szeleszczą rachunki, bibuła ostemplowana i ocyfrowana. Ceremonialne ważenia. Gruby dostawca warzyw kładzie ukradkiem żelazny hak na wózek. Żeby cięższe były skrzynie z kapustą. I z korzyścią dla niego. Wi-

dzi to uważa kierowniczka i wzdycha do grubasa.

— Ech, królewiczu...

Szurgot plastikowych pojemników. Grzmot ziemniaków w worku.

— Tu znowu pozapychane — wola gniewny dostawca, patrząc w kąta na ziemniaki, zastawiony skrzyńkami.

— Pyruńki przywieźliśmy, pyreczki, pyreczki...

Węć wnoszą wilgotne worki, podciągają nosem. Z plandeki kapie...

— Rzdokiewki! — wołanie z innego kąta.

— Nie pisałam rzdokiewek! — broni się kierowniczka i głośno odczytuje z „dowodu dostawy” makaronów: — Beżajnitka, beżajkolanka, wzbogacone kolanka, beżajkowe, zżajkowe — tą ruchliwą, eksperymentującą polszczyzną.

Trzask zamykanych drzwi. Przekomarzenia. Gorący i długi czas. Transport od cukierków, przez boćkę, do warzyw. Noszenie, wnoszenie, wynoszenie. Atmosfera pośpiechu i pracy.

— No, anioły! Tylko sprzedajcie dobrze! Handlować! — wołają na odjeżdżnym.

5.

Psujące się chłodzarki, maszyny liczące, brak czulej wagi kontrolującej w magazynie. Myszy, na które nie ma rady. Torby z grubego, mięsistego papieru, często przegrzyzone na wylot. Ile z przywiezionych właśnie worków cukru kryje w sobie również gniazda tych gryzoni? Z poszarpanych myślami ząbkami torebek, przesypanych słodki proszek do niefabczynnych „tytek”, ale nie mają uznania klientów. Gdy nie działa forma, banderola i kontrolny znak.

Niedostatki. I tu: nieuniknione i nieobliczalne, oczywiste i dające się wytłumaczyć...

6.

W sobotę ustawia się w monstre — kolejki. Na ulicy — po koszyki, w sklepie — do kasy...

— Nieroztropny! Teraz po kilo cukru stoi przez pół godziny w każdej kolejce. Jakby wcześniej nie było tego zakupu. Godzinę po przepisowym „zamknięciu” byliśmy jeszcze w sklepie! — wspomina ekspedientka.

Rozerwana torba daje pretekst do siedmiominutowej wymiany obelg. Obrazek typowy w sklepowej scenarii.

— Pani może sobie wylizać ten cukier!

— Pan jest chamem, bo człowiek inteligentny tak nie mówi!
— Ja pani pokażę chama!
Włącza się opinia publiczna.
— Pan się pomylił, ja widziałem, że to pan rozerwał torbę!

— Niech pan się nie wtrąca!
— Pan grozi? Pana się będę bał? Głupi baranie!
— Tyś głupi!
Nachmurzona ekspedientka przysłuchuje się pyskowie klientów.

7.

Nielatwo pracować w sklepie. Skończyły się wakacje. Ale sklep będzie mi się jeszcze śnił po nocach.

TOMASZ SOLDENHOFF

11 października odbył się IV Turniej Jednego Wiersza o Puchar Wina, zorganizowany przez Koło Młodych przy Oddziale Łódzkim Związku Literatów Polskich.

Jury w składzie: Urszula Osetek, Jerzy Jarmolowski, Jerzy Poradecki, Jerzy Rzymowski i Jerzy Wilmański, przyznało dwie równorzędne nagrody pierwsze: Puchar (do wina) — Grzegorzowi KOŚCIŃSKIEMU za wiersz „Chciałem iść...” i Nagrodę Rady Wojewódzkiej Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej w Łodzi — Andrzejowi Wiktorowi MIKOŁAJEWSKIEMU za wiersz „I znowu musimy zwyciężać” oraz nagrodę drugą — Czesławowi Mirosławowi SZCZEPANIAKOWI za fragment poematu „Karta chorobowa”. Przeczytajmy nagrodzone wiersze młodych poetów.

GRZEGORZ KOŚCIŃSKI



Grażynie i Rafałowi Orlewskim

Chciałem iść
— kto tę drogę pokona beze mnie
Chciałem spać
— kto nie prześpi gdzieś w dali tej nocy
Chciałem wstać
— kto swe sny odnajdzie w ciemności
Chciałem żyć
— świt Dawida zabija z procy

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

I ZNOWU MUSIMY ZWYCIĘŻAĆ

I znowu musimy zwyciężać
dzień by nie umarł z braku poruszenia
kiedy nad miastem słońce wschodzi
o czym nie wiemy i kiedy rozściela się ciemność
o czym już także nie wiemy
i kiedy dzieci śmieją się i płaczą
i matki rodzą w bólach
oto jest dobra ukrywająca nas codzienność
anonimowa i bezdomna chociaż wszyscy w domach
i chwile szczęśliwe mijają obok
czyjeś rozpacz na długo lub na krótko
zgiełk
co my wiemy o zgiełku
kiedy byli wszyscy
ale jakby nas także nie było
gdzieś jednak
gdzieś w niedostępnym wnętrzu
istnieje poeta
i piękno
i nie istniejąca miłość
w którą każdy by chciał uwierzyć
ale coż go obchodzi poeta
ale coż go obchodzi piękno
my nie znamy poezji
— jest w nas pamięć okropna
dzień który umiera z braku poruszenia
i kiedy rozściela się ciemność
jesteśmy już zbyt sami
by wierzyć w sens zapomnienia

CZESŁAW MIKOŁAJ SZCZEPANIAK

KARTA CHOROBY

(fragmenty)

Moja Biała Pani zmarła w piątą porę
pozostawiła mi zniebnięte nogi i
kilkanaście zdjęć
Powracam do jej twarzy utrwalonej na
pożółkłym papierze
Już jesień, mój ptak w krzewach
czasami śpiewa
Pani nie ma, nie będę się pytał
dlaczego w Pani pokoju drzwi są bez
klamek
mój ptak w krzewach znuci znajomą
pieśń
nie chcę być bogatszy o śmierć
nie chcę być biedniejszy o krew
chcę składać w Pani zniebnięte dłonie
zwiędnięte wieniec i kwiaty

*

niech Pani wyśni moją śmierć aby mogła w
mojej krwi nogi zmoczyć
może da mi Pani swój sen, w zamian oddam
ciepło ciała utrzymujące się w temperaturze
silnej gorączki
Pani nie wierzy w cuda — ale ja znam pewne sztuczki
które w cyrku nikt nie jest w stanie pokazać
— umiem chwycić język na gorącym uczynku. To ja
jestem tym człowiekiem o kulach, bez okularów
nie używającym kremów, pozwalam włosom spadać na
plecy (może dlatego, że dawniej miałem garba)

w tę noc nie mogłem zasnąć
kąpałem się we własnej krwi
obok umierał człowiek, miał tyle lat
co ja
lubił szybko jeździć na motorze
On uciekł z domu, tłumaczył — że gnój śmierdzi

On zginął

Niech Pani wyśni mi moją śmierć
albo przyjdzie do mnie wieczorem

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

„PÓŻNEGO WNUKA” książka o NORWIDZIE

Nieczesto poeci zabierają głos na temat poetów, którzy mają już swoje miejsce w historii literatury. Jeśli to czynią, to zazwyczaj dlatego, że pragną motywować własne poszukiwania artystyczne tradycją, która mogłaby w oczach czytelnika sankcjonować ich własną twórczość. Staje się to wtedy polemiką wobec twórców, którzy inną tradycję wybrali. Ale istnieją również artyści, którzy są na tyle fascynowani jakimś twórcą, że — mimo, iż nie czują się jego spadkobiercami — czują się w obowiązku spłacić dług przemyśleń, jaki wobec swoich ulubieńców zaciągnęli. Wśród współczesnych poetów polskich do tego ostatniego typu należą chyba: Mieczysław Jastrun i Marian Piechal, a pisarzem, który ich skłania do ustawicznej refleksji i do ciągłych reinterpretacji — jest Cyprian Kamil Norwid. Każdy z nich inaczej interpretuje Norwida, każdy z nich innego rodzaju poezję uprawia, ale zarówno jeden jak i drugi — choć kontynuatorem Norwidowskiego modelu poezji nie jest (i zresztą nie chce być) — z pewnością jest tym „późnym wnukiem”, o jakiego twórcy „Fortepianu Szopena” chodzilo, który usiłuje myśli Norwidową przymierzyć do tego, co mu się wydaje najbliższe epoce, w której żyje, i z którą przyszło mu się mierzyć pisarstwem swoim.

W chwil obecnej obserwujemy swojego rodzaju zapotrzebowanie społeczne na Norwida, które można zmyślić choćby ilością wydań jego utworów. Aktualność jakiegoś pisarza, manifestująca się w ten sposób, jest zjawiskiem, które skłania do rozważań natury nie tylko literaturoznawczej, ale również socjologicznej. Wacław Borowy, pisząc o pierwszej książce Piechala na temat „Norwida” wydanej w roku 1937, przypisywał jej pewien „socjologizm”, chwalał jednocześnie trafność wyczuwania, że „poezja wiąże się z całością życia historycznego”, choć stwierdzając również, że „związek ten jeszcze nie tożsamości”. Kiedy Piechal podejmuje problem społecznej aktualności i ciągłej współczesności Norwida dzisiaj, oceniając by należało kontynuacji owego socjologicznego podejścia, które może być najwłaściwsze w tym przypadku. Tymczasem jednak osi, wokół której koncentrują się rozważania „Mitu Pigmaliona”), staje się fakt nazywany przez Piechala „prekursorstwem Norwida”. Przez pojęcie to rozumie on z jednej strony „trafną antycypację faktów” (s. 237) — co wiąże się raczej z prorokowaniem, profesją — a z drugiej strony piechalowskie ujmowanie Norwida, jako prekursora dotyczy tego, że pewne myśli poety zostały sformułowane w sposób bliski lub podobny przez pisarzy i myślicieli dopiero w wieku XX. Wyliczony zostaje cały ich szereg: począwszy od Conrada poprzez Valery’ego, Pounda, Camusa do poetów „Kwadręgi”, jak również od Bergsona poprzez Junga, Einsteina, Teilharda de Chardin, Lévi-Straussa, Eco do Jana XXIII.

Nasuwać się w związku z tym dwa pytania. Może — w pierwszym wypadku — nie należy nazywać Norwida ani prekursorem, ani profeta, ale — jak to się dzisiaj mówi — futurologiem?... I pytanie drugie, czy dlatego, że pewne myśli Norwida są podobne sformułowaniami kilkadziesiąt lat późniejszym, musi to świadczyć o jakimkolwiek prekursorstwie? Gdyby się na to miało odpowiedzieć twierdząco, to należałoby na przykład mówić o prekursorstwie starożytnej Grecji w stosunku do średniowiecza, a Arystotelesa uznać za prekursora S. Tomasa z Akwinu... Gdzieś tutaj musi tkwić błąd metodologiczny, który każe powątpiewać o trafności i płodności intelektualnej wprowadzania samego pojęcia prekursorstwa. Może wystarczy stwierdzić skromnie, że np. Rimbaud lub Norwid tak dalece w twórczości swojej wykraczali poza przyjęty obiegowy system konwencji myślowych i estetycznych swojego czasu, że właśnie oni mogli stać się punktem odniesienia, od którego zaczynać się będzie dalszy rozwój sztuki pisania? Może wystarczy powiedzieć że już w wieku XIX istnieli twórcy i myśliciele, których dzieło było projekcją świadomości społecznej dopiero się rodzącej, ale że narodziny te — same w sobie — stanowiły właściwość istotną tamtych czasów, a nie okresu, który póź-

niej będzie się do nich odwoływał? Bo jaką mamy pewność, że to, co Rimbaud i Norwid myśleli i mówili, nie jest czymś najbardziej właściwym okresowi, w którym żyli, a jeśli nawet myśleli inaczej niż ogół społeczeństwa, to dlatego, że społeczeństwo to było „opóźnione”, a wcale nie dlatego, że myślą swoją poprzedzali wiek przyszły? Może to my się dzisiaj mylimy, przynajmniej z afekcją rangę prekursora komuś, kto gdyby jeszcze żył — wcale by się z naszym światopoglądem nie zgodził?

„Jeśli wzmianka o prekursorstwie ma jakiś sens — pisze M. Piechal — to tylko pod warunkiem asyutuowania tego problemu w szerszych ramach historyczno-socjologicznych” (ss. 312—313). I słusznie — ale ram takich stanowić nie mogą zestawienia przemyśleń Norwida z zawsze dość przypadkowym wyborem pisarzy późniejszych. Piechal sygnalizuje pewne konteksty myśli XX-wiecznej, w których można by odnaleźć problemy bliskie zainteresowaniom Norwida. Ale czy to miałoby świadczyć o prekursorstwie twórcy „Promethidiona”, czy tylko o tym, że wiek nasz kontynuuje problematykę, jaka narodziła się już w stuleciu ubiegłym? Z czego przecież wcale nie wynika, że jesteśmy „epigonami” tego stulecia, bowiem przypisanie nam takiego miana jest równie niesłuszne jak nietrafne jest nazywanie pisarzy jakiegokolwiek okresu „prekursorami” czasów późniejszych. Rozważania tego rodzaju nie prowadzą do żadnych pozytywnych rezultatów. Zbieżności przemyśleń jest rzeczą nietrudną wychwycić i wskazać, ale czy nie właściwsze by było uzasadnić je stałą i ciągłą ewolucją świadomości społecznej, pozostając w „ramach historyczno-socjologicznych”, zamiast przypisywać „prekursorstwo” tym, którzy byli jedynie jednym z ogniw w łańcuchu tej ewolucji?

Marian Piechal przypomina sformułowanie Norwida z wykładów „O Juliuszu Słowackim”: „...czytanie autora zależy na wyczytaniu zeń tego, co on tworzył więcej tym, co pracą wieków na tym urosło” (s. 240). Zaś wypowiedź Norwida o Szekspirze, który nie mógł przecieć późniejszych interpretacji swoich dzieł, skomentowana została stwierdzeniem, że treści utworów wnosi „nie tylko każde nowe pokolenie czytelników, ale także i ostateczna zmiana perspektywy historycznej, stosunków społecznych, kulturowych itp.” (s. 221). Są niewątpliwie słuszne zarówno myśli Norwida, jak i uwagi ich komentatora. Lecz czy te ostatnie nie przeczą w jakiś sposób tezie o prekursorstwie Norwida w ujęciu podanym przez Piechala? Jeśli bowiem treść dzieła jego aktualne znaczenie „wnosi... każda zmiana perspektywy historycznej” i „każde nowe pokolenie czytelników”, to o wazkości znaczeniowej utworu decyduje nie wyobrażone dzieło, ale aktualny sposób jego społecznej recepcji i — co za tym idzie — jego historycznie określony sposób interpretacji. Prekursoratem zatem się nie jest, ale prekursorem się bywa, lecz o tym decyduje już nie tyle samo dzieło autora, ale aktualny stan świadomości społecznej, który determinuje sposób jego odbioru.

Dla Mariana Piechala punktem odniesienia jest współczesność i nieukrywana zresztą myśl, że dopiero dzisiaj w sposób właściwy i trafny potrafimy zrozumieć Norwida. Dlatego też w rozdziale pt. „Dzieje recepcji” oświeckim krytyki staje się odbiór Norwida w okresie Młodej Polski i w dwudziestolecie międzywojennym (tutaj wyjątek: „Kwadręga”). Przy pomocy Norwida Piechal kontynuuje swoją odwieczną polemikę ze skamandrytami i awangardą. Norwid jest dla autora „Elegii caopaincy”, autorytetem i biedni są wszyscy ci (dziś np. Ważyk i Grochowiak), którzy odwołali się do słowo o Norwidzie powiedzieć! Potępione zostają w naszej literaturze okresy i grupy literackie, które niewłaściwie — według Piechala — Norwida odczytywały. Ale jednocześnie Piechal zgadza się z wypowiedziami autora „Czarnych kwiatów”, które dotyczą faktu, że „czas przydaje albo odejmuje treści dziełu”. Dlaczego więc spierać się ze sposobem recepcji Norwida w czasach Młodej Polski i stwierdzać, że był on niewłaściwy? Recepcja ta była taką, jaką była, bo wówczas nie mogła być inną, a potępienie jej z



Fot. H. Smigacz

plaszczyny odniesienia, którą jest dzisiejszy odbiór poety, wydaje się być ahistorycznym nadużyciem. (A zresztą wiele stwierdzeń o Norwidzie wyszłych spod pióra Stanisława Brzozowskiego, brzmi dzisiaj — co przyznaje i Piechal — zadziwiająco świeżo). Każda epoka ma swojego Norwida i każda swojego będzie miała. A może nastanie i taka, która się od niego odzegna w imię własnych, odmiennych celów?...

Wiele nasuwa się pytań przy lekturze każdej książki o Norwidzie, tym bardziej książki M. Piechala który — sam będąc poetą — nie tylko snuje rozważania wokół myśli autora „Rzeczy o wolności słowa”, ale również wykorzystuje okazję do zaprezentowania własnej postawy artystycznej. Książka o Norwidzie staje się w ten sposób swoistego rodzaju kamuflażem własnych poglądów jej autora i nabiera akcentów polemicznych w stosunku do postaw o innej orientacji artystycznej, a nieraz także w stosunku do naszej współczesności.

Niekiedy również wydaje się być dyskusją autora, dyskusją z samym sobą, co uzewnętrznia się najbardziej w części zatytułowanej „Epilog-dialog o czytelności Norwida”. Najciekawszy to rozdział książki, w którym Piechal zdaje się wzorować na dialogach Norwidowych o sztuce, pięknie, pracy. Niezwykle trafną i cenną jest piechalowska analiza używania przez Norwida takich pojęć jak: „narod”, „lud”, „inteligencja” — analiza przeprowadzona w rozdziale „Norwid a współczesność”. W tej części znajdziemy błyskotliwe rozróżnienie między słowem czterech największych poetów polskich — Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego i Norwida — przy czym za kryterium różnicowania służy Piechalowi pojęcie światła—cienia, którym jest nasycony język poetów. W tym miejscu przeobraża się Piechal w krytyka i komentatora, a staje się artystą piszącym o innych artystach, poetą mówiącym o innych mistrzach słowa, odczuwającym z wrażliwością, do jakiej jedynie artysta jest zdolny. I choć interpretacja staje się tutaj metaforyczną, nie razi to wcale wówczas, gdy czytelnik jest uderzony jej trafnością.

Nierzadko znajdziemy zresztą podobne miejsca w książce Piechala, choć w wielu wypadkach chciałoby się spierać z autorem, zwłaszcza gdy rzecz dotyczy szczegółowych interpretacji wierszy Norwida (np. „Sfinksa I”). Jest jednak oczywiste, że powodem do takiego sporu byłby sam materiał poetycki podlegający analizie, tak przecież zawsze dyskusyjny w przypadku autora „Vade-mecum”.

Omawianą książkę uzupełniają aneksy, do którego włączył Piechal wybór fragmentów ze swojej przedwojennej pracy o Norwidzie, a także kilka artykułów polemicznych, markujących pewne etapy „bojów o Norwida”, a ukoronowanych w końcu porównawczym wydaniem pism wszystkich poetów, na które czytelnik polski nie miał od stu lat czekać. Aneks taki nieco rozbił kom ozycyjną całość książki (tym bardziej, że dotyczy nieraz spraw już przebrzmiałych, np. polemiki z Pinim i Lisiecką), ale pozwalała dostrzec ciągłość zainteresowań norwidowskich Mariana Piechala, których początek miał miejsce w czasach jego młodości, a które ukoronowane zostały „Mitem Pigmaliona”.

*) Marian Piechal, *Mit Pigmaliona. Rzecz o Norwidzie*, Warszawa 1974, PIW.

DROGI ROZWOJU PRZEMYSŁU WRL

Od kilku dni w kraju naszym bawi z przyjacielską wizytą oficjalną przybyły na zaproszenie przewodniczącego Rady Państwa PRL, Henryka Jabłońskiego, przewodniczący Rady Prezydialnej Węgierskiej Republiki Ludowej, PAL LOSONCZI wraz z małżonką i towarzyszącymi mu osobami. Węgierscy goście przybywają w okresie sprzyjającym w obu krajach dokonywaniu bilansu. My obchodzimy w tym roku swoje 30-lecie władzy ludowej. Węgry zaś swoje trzydziestolecie obchodzą za kilka miesięcy. Oba kraje znajdują się w ważnym okresie kształtowania programów rozwojowego budownictwa socjalistycznego.

Z Węgry od wieków leżą nas tradycyjnie wizer przyjaźni, ale nigdy w przeszłości nie były tak wielostronne, obejmujące tak wiele dziedzin, jak dziś. W stosunkach dwustronnych dominuje jednak wzrastająca wymiana handlowa oraz kooperacja przemysłowa, służąca rozwijaniu i podnoszeniu potencjału gospodarczego oraz dostawniemu życiu ludności obu krajów. Dzisiejsze Węgry są jednym z naszych najpoważniejszych partnerów w międzynarodowych stosunkach gospodarczych. Są jednocześnie partnerem niezmiernie ciekawym. Nie mając większych tradycji, postawili na przemysł, jego rozwój, modernizację i zmianę struktury gospodarczej kraju. Od początku wzięli ostre tempo i potrafią je utrzymać. Rozwijają go i eksperymentują, i to eksperymentują z korzyścią i znacznymi efektami.

Na czym to polega? Otóż, jak donosi ostatnio korespondent PAP, opierając się na wprowadzonym systemie wskaźników, dokonano analizy opłacalności produkcji w poszczególnych dziedzinach gospodarki narodowej. Ostatecznym celem podjętych działań było przyspieszenie i rozszerzenie produkcji najbardziej opłacalnej, unowocześnienie procesów technologicznych i usprawnienie organizacji produkcji, a w konsekwencji — zmniejszenie kosztów własnych.

W wyniku tych analiz w wielu dziedzinach wycofano z produkcji wyroby przestarzałe, wprowadzając na ich miejsce lepsze, nowocześniejsze, mogące skutecznie konkurować na rynkach krajowym i zagranicznym.

Przykładowo — w rezerwie przemysłowej wycofano z produkcji 236 różnych wyrobów, zamykając jednocześnie 34 zakłady bądź też ich filie. Straty, jakie poniosła gospodarka narodowa w wyniku wstrzymania produkcji tych wyrobów wyniosły w skali rocznej 80 milionów forintów. Przez wprowadzenie w tym samym czasie do produkcji 689 nowych wyrobów, uzyskano natomiast zysk roczny rzędu 1,7 mld forintów. Zestawienie tych liczb mówi samo za siebie. W rezerwie przemysłowej maszynowego wprowadzone zmiany i usprawnienia spowodowały zwiększenie opłacalności produkcji o 10 mld forintów.

Zmiany produkcyjne dokonane w przemyśle lekkim wynikały przede wszystkim z wprowadzenia nowych technologii i surowców. W wyniku tych zmian, na przykład w przemyśle tekstylnym, udział włókien naturalnych zmniejszył się z 68 proc. do 64 proc.

W przemyśle materiałowym budowlanych zaprzestano produkcji prowadzonych przez stare cegielnie. Zwiększono natomiast produkcję i asortyment wytwarzanych towarów przez przemysł szklarski i ceramiczny. Także w przemyśle spożywczym, w wyniku modernizacji profilu eksportu, poprawiły się jego wskaźniki ekonomiczne. W drobiarstwie na przykład zwiększono udział w eksporcie gatunków drobiu najbardziej opłacalnych, charakteryzujących się najszybszym przyrostem wagi. W produkcji win — znacznie zwiększono wysyłanie za granicę wina butelkowanego — dużo bardziej opłacalnego niż beczkowanego.

Ogółem, zmiany dokonane w przemyśle spożywczym przyniosły tylko w minionym roku zyski wyższe o 1,8 mld forintów.

Innym wyznacznikiem kierunku zmian struktury węgierskiego przemysłu jest specjalizacja w ramach planów perspektywicznych i koncepcji polityki gospodarczej państw RWPG.

Wydatny rozwój przemysłu WRL osiagnięty jest także drogą działalności inwestycyjnej, znacznego przyspieszenia tej tempa. Tak na przykład w pierwszym półroczu 1974 r. zainwestowano o prawie 3 mld forintów więcej niż w analogicznym okresie roku ubiegłego.

Dynamiczemu rozwojowi przemysłu odpowiada wzrost produkcji przemysłowej. Licząc w cenach porównywalnych, produkcja w węgierskim przemyśle socjalistycznym wzrosła o 7,7 proc. w porównaniu z podobnym okresem roku 1973. Szczególnie pozytywnym zjawiskiem jest fakt wzrostu w podobnej skali produkcji przypadającej na jednego zatrudnionego.

Według analiz przeprowadzonych przez Państwową Komisję Planowania, wskaźniki gospodarcze uzyskane w I półroczu br. świadczą o tym, że tylko o wykonaniu zadań planowych na rok bieżący, ale i o wykonaniu planów czwartej pięciolatki.

Trwający proces modernizacji węgierskiej gospodarki narodowej w pełni odpowiada zaleceniom partii w tej dziedzinie i wpływa na znaczne zwiększenie tak potencjału gospodarczego poszczególnych dziedzin tej gospodarki, jak i na dalszy rozwój węgierskiego eksportu i poprawę zaopatrzenia rynku wewnętrznego.

J. J.

Nikt się nie zdziwił w Portugalii, gdy o godz. 11,30 dnia 30 września tego roku na ekranach telewizorów pojawił się gen. Antonio de Spínola i złożył oświadczenie o ustąpieniu ze stanowiska prezydenta republiki. General zagrał va banque i przegrał.

Siedząc za ogromnym biurkiem w prezydenckim pałacu Belem, Spínola mówił cichym głosem: „Zrobiłem wszystko, żeby zachować w całości zdobyte 25 kwietnia, których niezłomnym obrońcą i gwarantem byłem ja sam. To moja jedyna pociecha...”

Jest to niewątpliwie bardzo dowolna interpretacja roli w politycznym życiu Portugalii — pisze specjalny wysłannik „Jeune Afrique”. Poczynając od 25 kwietnia największym problemem de Spínoli była rozbieżność między jego mniemaniem o roli jaką odgrywa, a realnymi możliwościami jej odegrania.

„Nie kartę, lecz rozdział historii Portugalii chce napisać de Spínola — powiedział niedawno jeden z najbliższych współpracowników generała, członek Komitetu Ocalenia Narodowego. — Gotów jest pójść na każdy kompromis, żeby tylko pozostać u władzy”.

W przemówieniu wygłoszonym 30 września de Spínola posunął się nawet do pogrodek: „W atmosferze ogólnej anarchii, kryzys i chaos są nieuchronne”. Zapowiedź kłopotów? Tak czy inaczej, de Spínola nie zrezygnował z myśli „napisania rozdziału” w historii Portugalii, sprowadzając kraj na krawędź wojny domowej, która mogła wybuchnąć w krytycznych dniach 27—28 września. W chwil, gdy wydawało się już, że generał-prezydent odniesie zwycięstwo w starciu z Ruchem Sił Zbrojnych, zapoczątkowanym w środku lata 1974, wydarzyło się coś, czego Spínola nie przewidział. I to „coś” zupełnie zmieniło sytuację.

Kryzys, który doprowadził do odwołania de Spínoli od władzy, rozpoczął się około 15 lipca, kiedy to „zgodność poglądów” prezydenta republiki i Ruchu Sił Zbrojnych obracała się przede wszystkim w sferze dobrych chęci. W dwa i pół miesiąca po obaleniu faszystowskiego reżimu, Spínola który nie brał bezpośredniego udziału w wydarzeniach 25 kwietnia, postanowił jednak zostać prawowitym prezydentem nowej Portugalii. Ciesząc się niewątpliwą popularnością, próbował przenieść wybory prezydenckie zamierzone na wiosnę 1975 roku — na październik 1974 roku. Z taką propozycją wystąpił także przewodniczący rządu tymczasowego zaufany człowiek prezydenta, prof. Adelino de Palma Carlos. Jednakże Ruch Sił Zbrojnych, który od chwili przewrotu kontroluje działalność nowego

ządu, odpowiedział odmownie: propozycja kolidowała z programem, a ustalone terminy winny być zachowane.

Wkrótce Palma Carlos zostaje usunięty wraz z grupą „umiarkowanych ministrów”. Ministrowie — socjaliści i ministrowie — komuniści pozostają na swoich stanowiskach. Spínola akceptuje ich, ale próbuje postawić na czele nowego rządu innego zaufanego człowieka ze swego otoczenia — majora Fermíno Miguelo, zajmującego stanowisko ministra obrony w rządzie Carlosa. Następuje kolejna odmowa Ruchu Sił Zbrojnych, nowa porażka Spínoli. I wtedy to wojskowi, którzy obalili dyktaturę Caetano, postanawiają ująć rządy w kraju w swoje ręce. Przewodniczącym Rady Ministrów zostaje podpułkownik Vasco Santos Goncalves, jeden z przywódców zamachu stanu z 25 kwietnia. Stronicy gen. Spínoli zatrzymują w nowym rządzie dwa portfele: ministra obrony Fermíno Miguelo i ministra informacji, którym zostaje kpt. Jose S. Ozorio.

Kryzys rządowy był przestroga dla prezydenta republiki i wyciągnął on z niej odpowiednie wnioski. 27 lipca de Spínola wygłosił przemówienie z okazji dekolonizacji. Było ono niemal krytyką jego własnej książki pt. „Portugalia i jej przyszłość”, w której żądał „ustanowienia portugalsko-afrykańskiej federacji”. Były wojskowy gubernator Gwinei-Bissau mówił teraz o prawie wszystkich kolonialnych narodów do samostanowienia i niepodległości. Czyżby więc Spínola przyjął program Ruchu Sił Zbrojnych? Nie podobnego. Spínola po prostu zrozumiał, iż układ sił zmienił się na jego niekorzyść. Jego przemówienie było klasycznym manewrem taktycznym. Wydarzenia, które w ślad za tym nastąpiły w stolicy Mozambiku — Lourenço Marques, pozwoliły mu na wykonanie nowego manewru.

W odpowiedzi na porozumienie o przyznaniu niepodległości, podpisanego 7 września br. w Lusace przez przedstawicieli rządu w Lizbonie i Frontu Wyzwolenia Mozambiku (FRELIMO), biali rasiści tej afrykańskiej „provincji” Portugalii wyszli na ulice, zajęli radiostację i ogłosili... niepodległość. Premier Vas-

cu Goncalves nazwał to „operetką”, niemniej podczas zaburzeń zginęło około 100 osób. 10 września, kiedy w Lourenço Marques trwały jeszcze zamieszki, gen. de Spínola wygłaszał mowę z okazji przyznania niepodległości Gwinei-Bissau. Zastugują w niej na uwagę dwa zdania, mające głębszy sens. Pierwsze dotyczy problemu dekolonizacji: „Proces ten polega nie na tym, jak niektórzy sądzą naiwnie, żeby po prostu przekazywać władzę organizacjom, które prowadziły walkę zbrojną z poprzednim reżimem...”, — mówił Spínola.

Drugie zdanie dotyczy sytuacji w Portugalii: „Milcząca większość narodu portugalskiego powinna się

na rzecz gen. Spínoli przed pałacem prezydenckim.

Kto stoi za plecami Almeida Araugu? Komuniści nie mają wątpliwości: reakcyjne i faszystowskie siły, które zaczęły się od 25 kwietnia, czekając na sprzyjający moment żeby pokazać kły. Partia socjalistyczna i inne organizacje demokratyczne podzielają ten pogląd, chociaż występują w bardziej umiarkowanym tonie. 25 września partia komunistyczna ogłasza, iż zapowiedziana demonstracja ma charakter wybuchowy i proponuje prezydentowi republiki wydanie zakazu jej organizowania, jeśli nie chce się znaleźć w roli jej uczestnika. Spínola nie chce o tym słyszeć. „Nie ja organizowałem te manifestacje i nie jestem w stanie jej odwołać” — oto jego słowa.

Tego wieczoru de Spínola i Vasco Goncalves spotkali się na trybunie areny walki byków „Prasa di Torus” w Lizbonie, na tradycyjnym corridzie. Pojawienie się na trybunach Goncalvesa przyjęło rewolucyjną pieśnią portugalskich komunistów „Avante, camaradas!” Spínola okazał z tego powodu swoje niezadowolenie. Osiem tysięcy widzów było świadkiem śpięcia między prezydentem republiki a jego premierem.

Wieczorem na placu Campu Pace-ny wybuchły starcia między lewicowcami a prawicowcami, zwolennikami Goncalvesa a zwolennikami Spínoli. Konflikt, nabrzmiewający w lonie rządu, groził przeniesieniem się na ulice. Sytuacja zastrzała się z minuty na minutę. Portugalski ruch demokratyczny, jednoczący siły lewicowe, wezwał naród do czujności.

Ruch Sił Zbrojnych, także podzielony na dwa obozy: zwolenników „elastycznej” linii Spínoli i „twardej” linii Goncalvesa nie dysponował dostateczną siłą polityczną, by nie zezwolić na demonstrację w dniu 28 września.

Późnym popołudniem 27 września nastąpiło wydarzenie zupełnie niespodziewane: grupy młodzieży zaczęły kontrolować drogi prowadzące do stolicy. Na szosach zbudowano barykady, sprawdzano dokumenty osób udających się do Lizbonu. Wśród młodych ludzi byli też, ubrani po cywilnemu, wojskowi z komisji do likwidacji PIDE (nazwa rozwiązanej policji politycznej obalonego reżimu — red.) ze spisanymi osobami podejrzanych.

Przed wieczorem aktywniej organizacji lewicowych otaczają miasto, Partia komunistyczna proklamuje mobilizację swych zwolenników. Wojsko i policja stoją na uboczu. Auta ciężarowe, autobusy, samochody prywatne, dowożące do stolicy setki uczestników mającej się odbyć demonstracji „milczącej większości”, są dokładnie rewidowane. Znalaziona broń rekwiruje się, a jej posiadaczy oddaje się w ręce policji.

W ten sposób naród portugalski i siły zbrojne zlikwidowały oprawny w szeregach spisek reakcji wymierzony przeciwko demokracji i defaszyzacji kraju. Zwycęstwo to umocniło pozycję sił postępowych w kraju.

JERZY CZECH

- W Moskwie i Warszawie ważne rozmowy polityczne
- Co przyniosą wybory w USA?
- We Włoszech wciąż kryzys

O tym, że Moskwa stała się światowym centrum polityki łatwo przekonać się, obserwując częstotliwość ważnych rozmów politycznych, jakie to i się w stolicy Związku Radzieckiego. Nie ma tygodnia, aby do ZSRR nie przyjeżdżał meżowie stanu z różnych krajów. Ostatnio uwagę komentatorów zaabsorbowały dwie wizyty: sekretarza stanu USA — H. Kissingera oraz kanclerza RFN — H. Schmidta. Pierwsza wiąże się z zapowiadającym już wielokrotnie roboczym spotkaniem Breżniew — Ford, o drugiej pisze się, że zapoczątkowała serię spotkań z nowymi szefami rządów krajów zachodnich, po tegorocznych zmianach w RFN, Francji i USA. Oba mają więc znaczenie szczególne i dlatego też od tych rozmów rozpoczynamy przegląd wydarzeń tygodnia.

Z informacji, jakimi rozporządzamy w chwili pisania tego komentarza wynika, że tym razem rozmowy radziecko-amerykańskie koncentrowały się na problemie ograniczenia zbrojeń. Bliskim Wschodzie oraz bezpieczeństwie europejskim.

Jak wiadomo, w Genewie toczą się rokowania dwustronne na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych. Obecna faza rozmów — SALT II — zmierza do wypracowania nowego

porozumienia, którego ważność ma sięgać 1985 roku. Od 18 września, kiedy to zaczął się obecny etap rozmów, osiągnięto postęp, który polega na głębszym poznaniu wzajemnych stanowisk. Według powszechnego oczekiwania moskiewskie rozmowy amerykańskiego sekretarza stanu mają torować drogę dalszym uzgodnieniom.

Bliski Wschód znajduje się w orbicie zainteresowania dwóch wielkich mocarstw przede wszystkim z uwagi na ciągłe utrzymującą się złożoną sytuację. Jak już pisaliśmy, Związek Radziecki opowiada się za rychłym znówieniem prac genueńskiej konferencji. Ma ona przecież wypracować drogi rozwiązania konfliktu.

Dziś równoległe z wycofaniem się Izraela z okupowanych terytoriów arabskich sprawą najważniejszą jest przyszłość Palestyny. Pod znakiem tego problemu rzeźbięta szczyt arabski w Rabacie, siódme już spotkanie przywódców państw Ligi Arabskiej. Przyznaje przedstawicielom Organizacji Wyzwolenia Palestyny statusu obserwatorów na sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ jest w tej sprawie wyraźnym postępem. Ale właśnie ten

fakt wywołał gwałtowne i drastyczne reakcje Tel Awiwu.

Trzeci z problemów, omawianych w Moskwie, europejskie bezpieczeństwo pozostaje w ścisłym związku z przebiegiem drugiego i gotowości rozpoczęcia trzeciego etapu Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. Kraje socjalistyczne niejednokrotnie wypowiadały się za przyspieszeniem prac drugiego etapu i europejskim spotkaniem na szczycie, który uwieńczy dotychczasowe 13-miesięczne dyskusje.

Komentując radziecko-amerykańskie rozmowy w Moskwie — prasa światowa podkreśla „bardzo pozytywny ton wypowiedzi Gromyki” oraz stwierdzenie Kissingera, że zmiana na stanowisku prezydenta USA „nie zahamuje polityki odprężenia w stosunkach z ZSRR”.

Wizyta Schmidta w stolicy ZSRR oceniana jest na nieco innej płaszczyźnie. Najdobitniej jej sens określa „General Anzeiger”: „Jeśli Brandt był reprezentantem tej fazy polityki, która przyniosła układy, Schmidt uważany jest za przedstawiciela okresu poukładanego, a więc okresu, w którym powinna się właściwie zacząć realizacja układu”.

W przeddzień wizyty przewidywano, że rozmowy kanclerza RFN dotyczące będą głównie stosunków bilateralnych z prymatem współpracy gospodarczej. Czy te przypuszczenia były słuszne — wyjaśnią nam komunikaty prasowe.

Za przykład realizacji zasady koegzystencji można uznać trzecią wizytę, którą chcemy odnotować w przeglądzie — premiera rządu norweskiego, T. Bratteliego w Polsce. Pierwsza w historii naszych dwustronnych stosunków — przyniosła pomyślne rezultaty. Do nich zaliczyć

trzeba: postanowienie wzmocnienia politycznego dialogu polsko-norweskiego, gotowość przyznania się do dalszego odprężenia i podbudowania go odprężeniem militarnym, podpisanie długoterminowego programu rozwoju współpracy gospodarczej. Będzie się ona koncentrowała na przemysłach: okrętowym i maszynowym, górnictwie, petrochemii, rolnictwie i rybołówstwie, przetwórstwie rolno-spożywczym i przetwórstwie drewna.

Z wydarzeń nadchodzących chcemy zwrócić uwagę na listopadowe wybory w USA. Wyberze się w nich pełny skład Izby Reprezentantów, co trzeciego senatora oraz 35 (z 50) gubernatorów. Wybory te, nie łączące się z prezydenckimi, mogą być interesujące tylko w jednej płaszczyźnie — pozycji Partii Republikańskiej. Dotychczas wszędzie jest ona w mniejszości. W Izbie Reprezentantów zasiada 187 republikanów (demokratów 243), w Senacie — 42 (demokratów 58), zaś gubernatorami jest 18 członków Partii Republikańskiej. Dotychczas był w wyborach tak, iż partia, której przedstawiciel jest u władzy, ponosiła w wyborach straty. Czy tak będzie i tym razem? Jak wpłynie na wynik odcienie Nixona i objęcie prezydentury przez Forda? Są to pytania, na które odpowiedź przyniesie 5 listopada. Jedno jest pewne: te wybory nie dadzą żadnej orientacji co do szans obu partii w wyborach prezydenckich 1976 r.

Jako o nadchodzącym, a nie już minionym wydarzeniu, trzeba pisać o powołaniu nowego rządu włoskiego. Kryzys bowiem trwa, a Fanfani po nieudanych konsultacjach politycznych zrezygnował ze swej misji.

WITOLD SŁAWSKI

TRZY RUBLE

Tego letniego wieczoru przyjechałem ze wsi do naszego powiatowego miasteczka pociągiem o godzinie dziewiątej. Było jeszcze gorąco, pościeliłem od chmur, nadciągała burza. Kiedy woźnica wsiadł do szybkiego odjazdu po czerniejącym polu, z tyłu coś nagle wybuchło, dźwięk przed nami na moment zalsniła złotem, gdzieś piorun przeleciał i wielkimi gwiazdami bić zaczął po kurzu i bryczce szybki rzadki deszcz, który znikł po chwili. Potem bryczka zjechała z wzniesienia z rozniekłej koleiny zaterkotała po kamiennym moście nad wyschniętą rzeczką. Za mostem ponuro czerniała z natrętnym swędem żelaza miejskie kuźnie. Na drodze pod górę błonela zakurzona naftowa tatarnia...

W hotelu Worobiowa, najlepszym w mieście, jak zwykle dano mi pokój z sypialnią za przepierzeniem. Powietrze w tym pokoju z dwoma zamkniętymi oknami, za białymi kretonowymi firankami, było gorące jak w piecu. Kazałem portierowi otworzyć okna na rozcieńczenie samowaru i szybko podszedłem do okna: w pokoju nie było czym oddychać. Za oknem już czerniała ciemność w której co chwila wybuchały błyskawice, teraz już białe, i łoczo się jakby po wybojach dudnienie piorunów. Pamiętam, pomyślałem wtedy: „Tak niedźna miścina, aż wierzyć się nie chce, że nad nią wybuchami groźnymi polyskuje to wspaniałe światło, majestatycznie huczy i drga mroczne niewidzialne niebo”.

Wszedłem za przepierzenie i zdejmując marynarkę, rozwijając krawat usłyszałem jak wbiegł z samowarem na tacy portier i stawiając stuknął o blat okrągłego stołu obok kanapy. Wyjrzałem: oprócz samowara, miseczki z wodą, szklanki i talerza z bułką, na tacy znajdowała się także filiżanka.

— Po co filiżanka? — spytałem.

Portier odpowiedział mrugając oczyma:

— Jedną panią chce się z panem zobaczyć, Borysie Piotrowicz.

— Jaka panią?

Portier wzruszył ramionami i znacząco się uśmiechnął:

— Wiadomo jaka. Bardzo prosila by ją wpuszcic. Obiecala rubla na piwo, jeżeli dobrze zarobi. Widziala, kiedy pan tu podjechal... — Oczywiście, ulicznica? —

— Pewnie. U nas takie nie bywaja. Zwykle przyjezdzi za paniąkami do Anny Matwiejewny posylaja, a tu nagle ta sama przychodzi... Wysoka tak i jakby gimnazjalistka.

Pomyślałem o nudnym wieczorze, jaki miałem przed sobą i powiedziałem:

— To zabawne. Wpuszczaj.

Portier uradowany zniknął. Zacząłem przygotowywać herbatę, ale do drzwi już zapukano i ze zdumieniem zobaczyłem, jak nie czekając na odpowiedź — nonszalanckimi krokami długich nóg w starych pięciennych pantoflach — weszła do pokoju dziewczyna w brązowej gimnazjalnej sukience i w słomkowym kapeluszu z pięknym sztucznym chabrowym z boku.

— Tak sobie przechodziłam i wpadłam na chwilę do pana — próbując ironicznie się uśmiechnąć powiedziała spoglądając w bok swymi czarnymi oczyma.

— Wszystko to było zupełnie niepodobne do tego czego oczekiwałem, dlatego zażenowany odrzekłem zbyt wesolym tonem:

— Bardzo mi miło. Proszę zdjąć kapelusze i zasiąść ze mną do herbaty.

Za oknami wybuchło fioletowo i pocięzycie, grzmot przeleciał gdzieś w pobliżu jak ostrzeżenie, do pokoju wpadł wiatr i wtedy pospiesznie zacząłem zamknąć okna, rad z tego, że jakoś mogę uchronić swoje zmieszanie. Kiedy odwróciłem się dziewczyna siedziała na kanapie zdjawszy kapelusze i zarzucając do tyłu włosy długą opaloną dłonią. Włosy miała gęste, kasztanowe, twarz nieco szeroka z piegami, usta pełne o odcieniu brzo, oczy ciemne i poważne. Chciałem żartobliwie przeprosić ją, że jestem bez marynarki, ale ona ponarzyła na mnie oschle i spytała:

— Ile może pan zapłacić?

I znów odpowiedziałem jej z udaną obojętnością:

— Zdążyłem jeszcze dojść do porozumienia! Napijmy się najpierw herbaty.

— Nie — odrzekła ponuro. — Muszę wszystkie warunki omówić przedtem. Mniej niż trzy ruble nie biorę.

— Jeżeli trzy, to trzy — odparłem z tą samą głupią pewnością siebie.

— Pan żartuje? — zapytała ostro.

— W żadnym wypadku — odpowiedziałem myśląc: „dam jej herbatę, trzy ruble i nich idzie z Bogiem”.

Westchnęła, przyskoczyła i ułożyła głowę na oparciu kanapy. Patrzając na jej białe usta i na jej włosy pomyślałem, że na pewno jest głodna, więc podałem jej filiżankę herbaty i talerzyk z bułką, usiadłem na kanapie i dotknąłem jej ręki:

— Proszę jeść.

Otworzyła oczy i w milczeniu zaczęła pić i jeść. Patrzyłem na jej opalone ręce i ciemne opuszczone rzęsy myślałem, że cała ta historia zaczyna wyglądać coraz dziwniej, dlatego spytałem:

— Pani jest tutejsza?

Zaprzeczyła ruchem głowy popijając bułkę herbatą:

— Nie, z daleka...

I znów umilkła. Potem strzepnęła z kolan okruszyny i nagle wstała nie patrząc na mnie:

— Pójdę się rozebrać.

Najmniej tego oczekiwałem, chciałem coś powiedzieć, ale ona rozkazująco uprzedziła mnie:

— Proszę zamknąć drzwi na klucz i opuścić zasłony na okna. I wyszła za przepierzenie.

Posłusznie opuściłem zasłony, za którymi coraz częściej ukazywały się błyskawice, jakby chciały głębiej zajrzeć do mego pokoju i coraz natrętniej przelatywały drgające dudnienie; przekreśliłem w drzwiach przedpokój kluczem nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego po co ja to wszystko robię i już chciałem podejść do niej z udanym śmiechem, obrócić to w żart, albo skłamać, że bardzo boli mnie głowa, ale ona głośno powiedziała z za przepierzenia:

— Proszę wejść...

I znów podałem się jej woli, wszedłem za przepierzenie i ujrzałem ją już w pościeli: leżała naciągniawszy koldrę po samą brodę, ponuro patrzyła na mnie zupełnie czarnymi oczyma i zaciskała szcękające zęby. Pod wpływem zażenowania oraz opanowującej mnie namietności wyrwałem koldrę z jej rąk odkrywając całe ciało w jednej tylko króciutkiej przyniszczonej koszulce. A ona ledwie zdążyła schwytać obnażoną ręką drewnianą gruszkę wyłącznika nad głową i zgasić światło...

Potem stałem w ciemności przy otwartym oknie, chciałem palić, słuchałem szumu wielkiej ulewy spadającej w czarnym zmroku na martwe miasto razem z jasnym i szybkim postukiwaniem fioletowych błyskawic i dalekimi salwami piorunów, myślałem wdechając deszczową świeżość zmieszana z zapachem miasta rozgrzanego w czasie dnia: tak, przedziwne połączenie — ta niedźna prowincja i ta bosko-groźna, dudniaca i oślepiająca w strugach deszczu wspaniałość — i coraz bardziej dziwiłem się w przerażeniu: czemu do ostatniej chwili nie zrozumiałem z kim mam do czynienia i czemu ona zdecydowała się sprzedać swoje dziewictwo za trzy ruble! Tak, dziewictwo!

Dziewczyna krzyknęła:

— Proszę zamknąć okno, za bardzo szumi i proszę podejść do mnie.

Wróciłem w ciemności za przepierzenie, usiadłem na łóżku i odnalazszy jej rękę całując ją zacząłem mówić:

— Proszę mi wybaczyć, proszę...

Spytała obojętnym tonem:

— Pan myślał, że jestem prawdziwą prostytutką, tylko że jestem głupia albo nienormalna?...

Szybko odpowiedziałem:

— Nie, nie myślałem, że jest pani nienormalna, sądziłem, że nie ma jeszcze pani doświadczenia, chociaż wie pani, że niektóre paniąki z tych... domów noszą sukienki gimnazjalistek.

— Dlaczego?

— Aby wydawać się bardziej cnotliwymi, a tym samym bardziej pociągającymi.

— Nie, o tym nie wiedziałam. Po prostu nie mam innej sukienki. Wiosną tego roku skończyłam gimnazjum. Nagle umarł mi ojciec — mama dawno zmarła — więc z Nowocerkasska przyjechałam tu w poszukiwaniu pracy, myślałam, że pomoże mi ją znaleźć kuzyn, zamieszkałam u niego, ale on zaczął napastować mnie: uderzył go po twarzy i od tego czasu sypiałam w parku miejskim na ławce... Wiele mnie kosztowało samo przyjście do pana, a tu jeszcze pan, jak się zorientował, chce się mnie pozbyć...

— To prawda, czulem się trochę dziwnie — powiedziałem. — Zgodziłem się na pani wizytę z nudów. Z prostytutkami nigdy się nie zadawałem. Myślałem, że wejdzie jakaś zwykła ulicznica, dam jej herbaty, pogadam, pożartuję, a potem dwa-trzy ruble...

— No właśnie a zamiast niej weszłam ja. I prawie do ostatniej chwili myślałam tylko o jednym: trzy ruble, trzy ruble... A stało się zupełnie inaczej. Teraz już nie nie rozumiem...

Tak także nie nie rozumiałem: ciemności, szum deszczu za oknami, obok mnie leży jakaś gimnazjalistka z Nowocerkasska, której nie znam nawet imienia... A oprócz tego to uczucie do niej, które rośnie coraz bardziej... Z trudnością spytałem:

— Czego pani nie rozumie?

Nie odpowiedziała. Nagle zapaliłem światło — przede mną błysnęły jej wielkie czarne oczy pełne łez. Szybko uniosła się i przygryzając usta oparła się o moje ramię. Odwróciłem jej głowę i zacząłem całować usta wykrzywione grymasem i mokre od łez, obejmując to duże ciało w spelzającej z ramienia starej koszulki, z uczuciem oszalalej litości i czułości zarazem patrzyłem na jej zakurzone smagłe dziewczęce stopy... Potem pokój był pełen porannego słońca przedzieraającego się przez spuszczone story, a my wciąż jeszcze siedzieliśmy na kanapie przy okrągłym stole i rozmawialiśmy — ona z głodu dopijała zimną herbatę i dojadła bułkę — i wciąż całowaliśmy się po rękach.

Ona potem pozostała w hotelu, a ja wyjechałem na wieś i następnego dnia pojechałszy razem do uzdrowiska...

Jesień chcieliśmy spędzić w Moskwie, ale zarówno jesień jak i zimą spędziliśmy w Jaltie — ona zaczęła gorączkować i kaszleć, w naszych pokojach zapachniało kreozolem...

A wiosną pochowałem ją, zmentarzą w Jaltie na wysokim wzgórzu. Z niego daleko widać morze, a z miasta — krzyże i pomniki. Pośród nich na pewno nawet teraz jeszcze bieleje marmurowy krzyż na jednej z najdroższych dla mnie mogił i nigdy już jej nie zobaczę — Bóg miłosierny uchronił mnie od tego.

Tłumaczył ROMAN GORZELSKI



Fot. J. Mendychowski

POWIĘKSZENIA

METODA

„Jak wyprowadzić boks z impasu?” — zapytuje z troską „Express Ilustrowany”.
Odpowiadamy: Nauczyć się wyprowadzać cioty.

NOWE REWELACJE NASZEGO ULUBIENCA

Nasz ulubieniec z „Przekroju” (rog.) podał znów kilka rewelacji. Informuje na przykład, że Andrzej Szymulko przebywał w Moskwie (wiemy to od dawna z prasy codziennej), że Dom Matwiałków powstał w wyniku ankiety ogłoszonej wśród radiosłuchaczy (wiemy o tym od dziewczulicy lat), że znany śpiewak, Andrzej Bahieda, jest ojcem słynnego narciarza (wiemy o tym niemal od dziecka)... Z. K. Rosowski twierdzi z uoporem, że nieważne pomysł. Niestety, odnosimy ostatnio wrażenie, że mu pomysłów po prostu brak.

15 LAT W 20 MINUT

Krakowska telewizja przygotowała film z okazji 15-lecia najpopularniejszego kabaretu w Polsce — „Piwnicy pod Baranami”. Zartulowany „Dwa dni i jedna noc z Piwnicą”. Obejrzałszy ten film i zaczęliśmy szybko liczyć — piętnaście lat — półtorę doby i... dwadzieścia minut. Bowiem tak długo (krótko) trwał ów reklamowany show jubileuszowy.

POMYSŁOWOŚĆ WYDAWNICZA

Tego jeszcze nie było! Oto ukazała się książka badacza wyborem tekstów z innej książki. Rzecz wygląda tak: Wydawnictwo Literackie opublikowało tom „Pism” Tadeusza Pełpera. Następnie dwaj redaktorzy tego tonu dokonali... wyboru z owego tomu i wydali książkę „Mysli o poezji”. Obie książki ukazały się w tym samym roku 1974.

Mysł jest przednia, ale czy takie „duple” (nie powiemy buble) wydawnicze mają sens, kiedy papieru nie ma w nadmiarze? Nie ma także w nadmiarze Pełpera, bowiem wszystkie wydania tego tekstu zatrzyniła się na roku 1939, choć wiadomo, że pisarz żył i tworzył do roku 1969.

CENNA DATA

Do Kierownictwa Filmu o trudnym i ciekawym życiu przedwojennych kelnerów pt. „Zaklęte rewiry” zgłosił się z reklamacją pan Stanisław S. Pana Stanisława oszukał nieuczciwy współczesny kelner w jednej z łódzkich restauracji, wliczając mu do rachunku datę. Po skrupulatnych oględzinach rachunku okazało się, że wpisana data jest datą przedwojenną i Kierownictwo Produkcji z radością zakupiło rachunek, który teraz ma szansę zagrać w tym ciekawym filmie.

WESOŁE I SMUTNE

Znany reżyser filmów młodzieżowych Jung zastanawiał się, jak zrobić film, który wstrząsnąłby młodymi sumie-

nlami ale zarazem natchnąłby też te sumienia radosnym optymizmem. Zadanie nie było łatwe. Po długich rozmyślniach Jung nakręcił film o chorej sierotce, która powraca do zdrowia oraz odnajduje tatusia i mamusię.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G.

AMBITNE PLANY

Wielkie sukcesy naszych seriali TV u odbiorców, skloniły

producentów do opracowania nowego, jeszcze bardziej sympatycznego serialu. Będą to wielo-odcinkowe „Opowieści mór i łądów”. W każdym z odcinków coraz to inny łąd czy też morze opowiedzą o sobie coś ciekawego.

GLÓD FILMODRUKU

Ostatnie badania na Podkarpaciu wykazały, że osobnicy którzy nie czytają prasy filmowej traktowani są przez resztę wsi nieprzychylnie, a często nawet wręcz niegrzecznie. Wystarczy jednak, by ci sami osobnicy zaczęli czytać prasę filmową a natychmiast zostają serdecznie przyjęci do społeczności wiejskiej i mogą już brać udział w dyskusjach odbywanych wieczorami w Gospodach Ludowych.

TADEUSZ GIGGIER

FRASZKI

ANGELOLOGIA	ACH	ASEKURACJA
Angelologia i dał odeszły dość dawno w dał, a ludziom jest trochę żal — angelologia i dał.	Ach, gdzie te piękne lata, gdy finansował tata?	By go nie wzięło słowo, potakuje tylko głową.
ABY	ALTERNATYWA	AKUPUNKTURA CZYLI PYTANIE SATYRYKA
Abby zaczął nowe życie nie wystarczy wstać o świcie.	Co bardziej niebezpieczne, rozważam naprędce: dostać się na jej język, czy dostać się w jej ręce?	Nakuwają chore ciało, aby szybciej wyzdrowiało. Czemu więc akupunkturę nie uznaje poniekąd?

TYLKO PRENUMERATA

zapewni ci

ODGŁOSY

REGULARNE OTRZYMYWANIE NASZEGO PISMA

PRZYJMUJE każdy doręczyciel pocztowy!

ODGŁOSY

„FRANCE — POLOGNE”

We Francji żyje liczna Polonia, której kontakty ze „starym krajem” są coraz silniejsze i trwalsze. Z myślą właśnie o tych wszystkich Polakach we Francji i z myślą o zacieśnieniu przyjaźni francusko-polskiej zorganizowany został przez francuskich działaczy polonijnych konkurs dla Polaków pt. „FRANCJA W OCZACH POLAKÓW”.

Do konkursu może przystąpić każdy, kto zechce wyrazić swoją opinię o Francji, stosunkach łączących ją z Polską, własnym zwiazek z Francją i sytuacjach z życia osobistego, które miały zwiazek z Francją. Organizatorzy konkursu — francuski organizacyjny polonijny i stowarzyszenie przyjaźni z Polską — nie stawiają żadnych wymagań formalnych. Prace konkursowe po winny być wysłane do Francji do 31 stycznia 1974 roku. Adres dla autorów prac pisemnych: Mr. Ignace Flaczynski, 29 rue Mi try, 62 — 150 Houdain (P.-d.-C), France, a dla wszystkich pozostałych — rysunki, szkice, fotografie itp. — adres brzmi: Comité Culturel Lievinois, (Hotel de Ville de Lievin), 62 — 800 Lievin, France.

Prace pisemne — jak zapewniają organizatorzy — można nadsyłać w języku polskim, francuskim lub esperanto. Dwie pierwsze nagrody przewiduje 10-dniowy pobyt we Francji.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293 00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamawia rekwizytów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28, Zam. 2397. C-4. Nr indeksu 37006.